
B. Dyakowski



Z puszczy
Białowieskiej.

N^o 46
ANDRZEJ GADOMSKI

ZE SZPARGAŁÓW
przyrodniczo-myśliwskich
Władysława Czarnowskiego

Z puszczy Białowieskiej.

Kowalczevska Ewa

B. DYAKOWSKI.

==

Z puszczy Białowieskiej.



Druk Towarzystwa Akcyjnego S. Orgelbranda Synów.

WARSZAWA.
NAKLAD REDAKCYI „PRZYJACIELA DZIECI”.
1908.

CZYTELNA



821.162.1-83 Ry



884-3

M

A

I.

Rozchwiane projekty wakacyjne. Do Białowieży!

Julek błakał się po parku Ujazdowskim w dość kwaśnym humorze: wczoraj wprawdzie skończyły się już lekcje i zaczęły wakacje, jest wolny, jak ptak, ale cóż z tego? Za parę dni pojedzie do Ciechocinka, który zna już od tylu lat i który przecie jest ostatecznie miastem, kiedy jemu, Julkowi, chce się na lato wsi prawdziwej, powietrza, łąk i lasów.

Był nawet projekt wyjazdu do Zakopanego, nadzieja wycieczek w góry, robienia nowych zbiorów przyrodniczych. Ale ten niegodziwy doktor uparł się, że dla Andzi są koniecznie potrzebne „solanki“ i przez

to on Julek, uczeń obecnie już piątej klasy, będzie musiał znów spędzić lato w Ciechocinku i bawić się, jak mały bęben w piasku! brr! brr!

— Czemuż to tłuczesz się po parku z taką miną, jak gdybyś miał jutro zdawać poprawkę u szewca? — zapytał go nagle wesóły głos, i przed Julkiem stanął średniego wzrostu, szczupły i bladawy chłopak, kolega z tej samej ławy.

— Ach, Kazik, wolałbym dziesięć poprawek u szewca, z jego wiecznym nudzeniem, że kreska w ułamku za ukośna, że czwórka podobna jest do jedynki, że on nie jest Duch święty i nie może odgadnąć, co ja myślę, — wszystkoby to wolał, bylebym tylko mógł nie jechać do Ciechocinka.

— Wybieraliście się przecież do Zakopanego?

— Tak, tak, wybieraliśmy i bylibyśmy pojechali, żeby nie ten mądry doktor. Andzia zdrowa jak ryba, tylko trochę mizerna i niema apetytu, a on znalazł w niej jakieś skrofuły, jakieś gruczoly i chce koniecznie, żebyśmy jechali do Ciechocinka, bo Andzia musi się moczyć w soli. Sam wymoknięty, jak śledź i chciałby cały świat moczyć w soli i marynować. I zato ja

muszę tam również jechać. Co ja tam będę robił? pytał Julek żałośnie.

— To jedź z nami do Białowieży?

— Alboż to tam ludzie jeżdżą na lato?

— Wszędzie można pojechać. Ale my nie jedziemy na całe lato, tylko robimy kilkodniową wycieczkę z Jankiem, wiesz, moim bratem.

— Z Jankiem, taki znakomity przyrodnik. Tożbyśmy różne zioła mogli zbierać!

— Jedzie jeszcze Józik.

— E!.. taki fanfaron.

— Fanfaron, nie fanfaron, a ma aparat fotograficzny, będzie więc można zdejmować ładniejsze widoki. Jedź z nami na czwartego: przydasz się Jankowi na pomocnika w robieniu zbiorów przyrodniczych, bo ja, jak wiesz, nie bardzo lubię zbierać te motyle, chrząszcze i inne gady lub badyle. Janek nawet wspominał o tobie, aleśmy myśleli, że jedziesz do Zakopanego.

— Wiem, wiem, żeś ty mól książkowy: w sam raz do namoczenia z naszym kochanym doktorem w soli! Ale kiedy już nie mogę jechać do Zakopanego, wy-

brałbym się z wami do tej Białowieży, zwłaszcza, że Janek będzie. Tylko czy rodzice się zgodzą?..

— Kupić nie kupić — potargować można. Chodźmy najpierw do Janka i przez niego poprosimy rodziców.

— A co? — uczonego historyk, — zaraz się wziął do dyplomacji. My, przyrodnicy, nie umiemy tak kołować, ale może to racya: chodźmy do Janka!

Pomysł uczonego historyka okazał się jednakże bardzo dobrym.

Janek, dwudziestoletni słuchacz wydziału przyrodniczego, cieszył się wielkim uznaniem rodziców Julka, którzy tem chętniej zgodzili się na tę wycieczkę, a pewni byli dobrej opieki, skoro Janek nią kierował.

Przygotowania do drogi nie zajęły zbyt dużo czasu.

— Nie jedziemy na bal, lecz na wycieczkę, nie potrzebujemy więc stroić się, weźmiemy tylko to, co jest koniecznie potrzebne, — mówił Janek.

Chłopcy zastosowali się do tego. Każdy przygotował sobie tłumoczek ręczny, złożony z peleryny, bielejny na zmianę i drugiej pary butów od przypadku.

Najwięcej kłopotu było z rynsztunkiem przyrodnictwem, bo Julek nie mógł się zdecydować na to, czy miał być na wycieczce botanikiem, czy też zoologiem, obciążać się zaś i teczką zielnikową i puszką na owady wraz z siatką było za dużo na jednego.

Kazio jednak usunął tę trudność, zgadzając się być na ten raz przyrodnikiem, a czy zoologiem czy botanikiem, to mi już wszystko jedno — dodał: bylebyś mi nie kazał dźwigać żubra, nakłutego na szpilkę albo zasuszonego okazu Baublisa, na resztę się zgadzam.

— Więc bądź tymczasem botanikiem: zobaczysz, że jeszcze rzucisz historję i literaturę, a zostaniesz przyrodnikiem.

Na drugi dzień wieczorem cała gromadka wycieczkowiczów zebrana już była na dworcu petersburskim, na Białystok bowiem prowadziła najkrótsza droga do Białowieży, tędy więc miano jechać.

Dziarskie miny, tłumoczki na plecach, tecki z bibułą lub puszeki z boku peleryny, zarzucone z fantazją, nogi młode i zdrowe — czegoż więcej potrzeba do wycieczki? Bo i aparat fotograficzny kołysał się wdzięcznie, na przerzucony przez ramię Józia, który za to nie miał już żadnych puszek, ani zielników.

— Trzy tuziny klisz kupilem!—mówił z dumą.

— Za mało, stanowczo za mało na takiego fotografa, co tuzin klisz zepsuje, zanim mu się jedna uda!—wtrącił złośliwie Julek.

— Jeszczem ani jednej nie zepsuł.

— Bo masz od wczoraj aparat.

— No, no, będziesz mię jeszcze prosił, żebym Ci odfotografował jakie piękne drzewo albo jakiego żubra lub tura.

— Obejdzie się cygańskie wesele bez marcepana.

— A tura, to już napewno nie będziesz fotografował, bo ich nie tylko niema w Białowieży, ale i nigdzie na świecie.

— Ho! ho! ho! a ten, co to z nim walczył Ursus w „Quo Vadis“ Sienkiewicza, to nie był tur?

— Najpierw, że był żubr, a nie tur, a następnie wtedy były jeszcze i prawdziwe tury, ale przecie my nie żyjemy w tych czasach.

Józio jednak nie chciał dać za wygraną i szukał dalej dowodów w literaturze:

— A przecie i Mickiewicz pisał, że są tury, pamiętacie, tam, gdzie to mówi w „Panu Tadeuszu“ o cesarzach puszczy...

— Może o imperatorach?..

— Przecie to wszystko jedno.

— Nawet cesarz lepiej po polsku, prawda?

— Et, nie nudź! A lepiej przypomnij, bo mi się po głowie niewyraźnie kręci, jak to wylicza te różne zwierzęta: tur, żubr...

— Bóbr... dodał Julek.

Spór ciągnąłby się dalej, ale wtem dał się słyszeć dzwonek, i wszyscy pośpieszyli zająć miejsca w wagonach. Ciasno było porządnie, ale pod różni nasi nie posiadali zbyt dużo pakunków i sami też nie odznaczali się tuszą, ulokowano się więc jako tako i ruszono w drogę.

Systematyczny Kazio wywlókl sprawę turów i żubrów przed sąd Janka, który przyznał mu słuszność i potwierdził, że turów istotnie niema już w puszczy Białowieskiej, wyginęły bowiem oddawna; ostatniem zaś miejscem, gdzie się znajdowały, była nie Białowieża, lecz puszcza Jaktorowska na Mazowszu. Tam dochowały się tury najdłużej, bo ostatni zginął w r. 1627.

— I postacią różniły się wybitnie te zwierzęta między sobą: tury były zupełnie podobne do naszych wołów dzisiejszych, tylko większe i okazalsze, z ol-

brzymimi rogami. Żubry zaś mają nadzwyczaj charakterystyczną silnie rozwiniętą przednią część ciała, kark, jakby garbaty, kudłatą grzywę, i brodę. Zobaczmy je zresztą wkrótce, dodał Janek.

Na tem rozmowa się urwała. Pomimo twardych ławek i siedzącej pozycyi, chłopcy zasnęli wkrótce, kiwając się i kołysząc na wszystkie strony.

II.

Z Warszawy do Białegostoku.

(Podróż koleją.—Dawne puszcze.—Historja puszczy Białowieskiej).

Zbyt mocno i wygodnie podróżni nasi nie spali, bo tłok w wagonach był wciąż jednakowy i nie sposób nawet było marzyć o wyciągnięciu się na ławce. Gdy się ma jednak lat piętnaście, to nawet i stojący człowiek spać potrafi. Spano więc w najlepsze, aż do godziny trzeciej, gdy pociąg stanął w Białymstoku i trzeba było przesiąść się do innego, podążającego na południe, w stronę Bielska i Białowieży.

Po godzinnem czekaniu ruszano w dalszą drogę. Słońce już wstało, przez okna otwarte dolatywał świeży, ranny powiew, na zbożach i trawach perliła się rosa, chwilami dolatywał śpiew skowronka, a pociąg miarowo stukając po szynach, pędził przed siebie.

Chłopców sen zupełnie odleciał: chłonęli w siebie orzeźwiający powiew i rozglądali się po okolicy. Julek zaproponował nawet Józiowi, aby wziął się do fotografowania, ale ten odrzekł z powagą, że słońce jest jeszcze za nisko, aby można było robić momentalne zdjęcia, a z wagonu nie da się przecie zrobić innych.

Janek zabrał głos:

— Za parę godzin ujrzymy już puszcę Białowieską. Skorzystam z czasu i opowiem wam nieco o tym zabytku dawnych czasów, o tej największej dziś w Europie puszczy, najokazalszej pozostałości odwiecznych lasów, o których powiada poeta:

Puszcza szumiała od ptactwa i zwierza
I z Bogiem jeszcze nie było przymierza,
Nie było także puszczą żadnej drogi.

W owych to czasach nie tylko kraj nasz, ale i cała Europa środkowa przedstawiała jedną olbrzymią puszcę, dziewiczą i bezludną, zamieszkałą jedynie przez dzikie zwierzęta. Był to jakby jeden wielki zwierzyniec, jedno królestwo zwierząt, w którym panowały, siejąc grozę i trwogę, najmocniejsze szabi ówczesne: drapieżny niedźwiedź, okazały tur, potężny żubr — te Mickiewicza „puszcz imperatory“, które jakoś wczoraj tak niefortunnie poplątały się w głowie Józiowi.

— Ja pamiętam to dobrze, wyrwał się Kazio i zaczął deklamować:

W samym środku (jak słyhać) mają swoje dwory:
Dawny tur, żubr i niedźwiedź, puszc imperatory;
Okolo nich, na drzewach, gnieździ się ryś bystry
I żarłoczny rosomak, jak czujne ministery;
Dalej zaś, jak podwładni, szlachetni wasale,
Mieszkają dziki, wilki i łosie—rogale;
Nad głowami sokoły i orłowie dzicy,
Żyjący w pańskich stałów, dworsey zausznicy.

— Tylko że wtedy, dodał Janek, nie potrzebowały one kryć się w samym środku puszczy, w niedostępnych matecznikach i ostępach, ale mogły w każ-

dem jej miejscu ściągać bezkarnie krwawą daninę ze swych „szlachetnych“ i „nieszlachetnych“ wasali. I stosunki między zwierzętami nie były tak pokojowe i patryarchalne, jak to przedstawił Mickiewicz, powtarzając podanie ludowe:

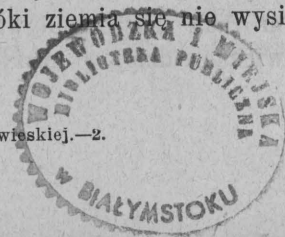
Słysząc, że tam w stolicy między zwierzętami
Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami;
Jeszcze cywilizacją ludzką nie popsuci,
Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci,
Nie znają pojedynków, ni wojennej sztuki.
Jak ojce żyły w raj, tak dziś żyją wnuki,
Dzikie i swojskie razem, w miłości i zgodzie,
Nigdy jeden drugiego nie kąsa, ni bodzie.
Nie giną nigdy bronią sieczną, ani palną,
Lecz starzy umierają śmiercią naturalną.
Nawet, gdyby tam człowiek wpadł, chociaż niezbrojny,
Toby środkiem bestyi przechodził spokojny.

Przeciwnie, gdzie było tylu drapieżców, tam ciągle wrzała zażarta walka, chociaż z trzech „puszcz imperatorów“ jeden tylko niedźwiedź należał do mięsożerców. Dość ich jednak było wśród „ministrów“ i „szlachetnych wasali“. Trawniczne więc zwierzęta, nie tylko

mniejsze, ale nawet i większe, jak łosie jelenie, tury i żubry musiały nieraz staczać krwawe walki w obronie własnego życia i nieraz stawały się pastwą silnych i obrotnych drapieżców.

Ma słuszność Mickiewicz, że w tych puszczańskich stosunkach „nie ginęły one nigdy bronią sieczną, ani palną“, tem bardziej, że broni palnej nie znano jeszcze wtedy wcale; ale też rzadko umierały ze starości „śmiercią naturalną“.

Zresztą wkrótce zjawił się i człowiek w puszczy. Najpierw, jako myśliwy, wystąpił on do walki z jej dawnymi mieszkańcami; następnie, jako rolnik, wypowiedział wojnę samej puszczy, trzebiąc okazałą jej działwę leśną w sposób bardzo pierwotny—wypalaniem. Taki dawny rolnik nie silił się na wyrabianie i wykarczowanie kawałka lasu, bo na to nie miał ani potrzebnej ilości rąk, ani czasu, podpalał go więc a gdy ogień strawił pewien jego obszar, zasiewał byle jak żyzną nowinę i bez wielkiej pracy i wielkich zachodów zbierał z niej plony przez lat kilka a nawet kilkanaście i dłużej, dopóki ziemia się nie wysiliła i nie przestała rodzić.



Gdy to nastąpiło, wypalał nowy kawał lasu i obsiewał go na nowo.

Rabunkowa to była gospodarka. Ale że wówczas ludzi było jeszcze mało, a lasów już, nie była więc ona bezwzględnie szkodliwa, tem bardziej, że opuszczone przez ludzi pola zostały zwykle napowrót lasem, nasiona bowiem drzew przechowywały się w ziemi bardzo długo i puszczały kielki, skoro tylko człowiek przestawał im przeszkadzać. W każdym jednak razie puszcza powoli się zmniejszała, ludzie bowiem nie zawsze dawali zarość takim zgliszczom leśnym i niejedni osadnik starał się utrzymać na stałe swój kawałek, jako pola uprawne.

Taka gospodarka z wypalaniem puszczy pod glebę rolną przetrwała długie czasy, póki tylko było jeszcze więcej lasów; wspomina o niej Pol w opisie Litwy w „Pieśni o ziemi naszej“.

Ómia się puszcze, mgła się zbiera,
Po pasiekach kraj przeziera.
Wół w rogi orze zgliszcze,
W ostrym źwirze socha świszcze.

W każdym razie puszczy ubywało powoli i już w pierwszych wiekach dziejów naszych Polska przed-

stawiała mieszaninę lasów z polami, a jednolite pierwotne puszcze znajdowały się głównie w stronie północno-wschodniej w sąsiedztwie z Litwą i Rusią. Stamtąd napadały na rolniczą Polskę hordy Litwinów i Jądzwingów, pustosząc kraj i sprowadzając jeńców, którzy do ich ojczyzny wnosili pierwsze pojęcia o uprawie roli i kraj ich przeistaczali również powoli w rolniczy.

Z rozrastaniem się ludności, z powiększeniem się ilości ziemi uprawnej ubywało wciąż lasów, a kraj stawał się coraz bardziej polnym. I oto dziś z tych okazałych dawnych lasów i borów zostały zaledwie małe szczątki, które nazywamy wprawdzie jeszcze puszciami, ale w których niema już prawie wcale cech prawdziwie puszczańskich.

Takie mizerne szczątki puszczy znajduje się gdzieś niegdzie w różnych miejscowościach Polski. Jest pod Krakowem słynna puszcza Niepołomska, ulubione miejsce łowów Kazimierza Wielkiego i innych naszych królów, którzy dziś zresztą nie mieliby już tam ani gdzie, ani na co polować. W okolicach Warszawy znajduje się puszcza Kampinowska, jedna z największych w Królestwie. Są jeszcze puszcze Kurpiowskie (Zielona i Myszyniecka) w Ostrołęckiem; są większe lasy

w Augustowskiem — resztki tego pasu puszczy leśnych, którym niegdyś urządzali na czas najścia Jadźwingowie i Litwini. Wszystko to jednak są już tylko duże lasy, ale nie puszcze, jedynie dawna nazwa trzyma się ich jeszcze, jako wspomnienie po tem, co było ongi.

Najokazalszym szczątkiem tych dawnych dziewiczych lasów jest puszcza Białowieska: ona jedna może nam dać jeszcze jakie takie pojęcie o tych naszych pierwotnych puszczech.

Ale i ona od dawna nie jest już prawdziwie dziewiczym lasem, zamieszkanym przez dzikie zwierzęta i nie tkniętym jeszcze siekierą. Początkowo tylko wypalana i przetrzebiana od brzegów, dostała się ona następnie w całości pod władzę człowieka i co najmniej od 250 lat podlega bardzo ścisłej jego opiece albo raczej zniszczeniu, jak wyraził się dowcipnie dr. Eugeniusz Roiner, profesor geografii w uniwersytecie lwowskim.

-- Jakto, zniszczeniu? — przerwał Julek, — sam przecież mówiłeś, że gdyby nie opieka ludzka, to i ta puszcza znikłaby wkrótce.

— Naturalnie, że bez opieki ludzkiej i prawnych zastrzeżeń znikłaby jeszcze pierwej, ale i pod tą opieką

straciła ona z konieczności pierwotny, dziki charakter i stała się raczej jakimś olbrzymim parkiem. Gdyby nie to jednak, gdyby pozwolono worywać się w nią i wyrąbywać ją bez przeszkód, przeistoczyłaby się ona bardzo prędko w piaszczystą, nieurodzajną krainę, z rzadkimi i nędznymi laskami, jaka otacza dzisiejszą puszcze z zachodu.

Sama puszcza w tej postaci, jaką ma obecnie, ocalała jedynie dzięki temu, iż królowie polscy, zamiłowani w myśliwstwie, chcieli jak najdłużej zachować lasy, odpowiednie dla grubego zwierza, na którego mogliby urządzać łowy. Wzięli więc pod specjalną opiekę tę puszcze, która zresztą od dawna była własnością panujących i należała do tak zwanych „Królew-szczyzn“.

Już w wieku XVI została ona zmierzona przez jeometrów i otrzymała straż leśną, dla opieki nad grubą zwierzyną. Strażnicy obowiązani byli pilnować, aby kłusownicy nie tępili jej. Gdy zaś przyjechał panujący z dworem, musieli oni udzielać wszelkich potrzebnych wskazówek do łowów a także brać czynny udział w ich urządzeniu. Za to na mniejszą zwierzynę mogli

polować nieograniczenie, płacąc wzamian osobny „podatek futrzany“ ze skór.

Dla lepszego upilnowania tak znacznego obszaru, jak puszcza Białowieska, podzielono ją na 12 straży, odgraniczonych od siebie liniami, przeciętymi wśród drzew na 12 łokci szerokości. Linie te rozchodziły się ze środka puszczy, gdzie dziś znajduje się wieś Nowa-Białowieża, i biegły w kierunku promieni ku jej obwodowi. W ten sposób każda straż miała kształt ogromnego trójkąta, z wierzchołkiem we wsi Białowieży.

Najwięcej zasług w porządnym urządzeniu opieki nad puszczą położył Antoni Tyzenhauz, głośny podskarbi Stanisława Augusta, niezmiernie dbały wogóle o podniesienie Litwy. Zwierzyna puszczańska, a zwłaszcza żubry uzyskiwały wtedy szczególnie dobrą opiekę. Strzeżli ich umyślni strzelcy, tępiąc zarazem wilki oraz inne drapieżne zwierzęta, niebezpieczne zwłaszcza dla młodych żubrów. Inni mieszkańcy puszczy, zwani osacznikami, przygotowywali stogi siana na zimę dla żubrów. Słowem, dobre to były czasy dla zwierząt.

Ale nie trwały one długo. Rozbiory Polski odbiły się i na nich, chociaż pozornie nie dotykały ich wcale.

Po trzecim rozbiciu, jak wiecie, Prusacy zagarnęli północną część dzisiejszego Królestwa. Granica tej ich nowej prowincyi, ohrzczonej szumnie „Prusami nowo-wschodniemi“ stykała się właśnie z puszczą i biegła zachodnim jej brzegiem. Prusacy o puszcze Białowieską nie troszczyli się wcale, i wtedy to w wioskach, sąsiadujących z puszczą, a należących do Prus, potworzyły się bandy zbrojnych kłusowników, które wpadały do puszczy, obfitującej wówczas w zwierzynę i następnie umykały z powrotem za granicę.

Stan taki trwał aż do czasu pobicia Prusaków przez Napoleona, utworzenia Księstwa Warszawskiego (w r. 1807) i zniesienia Prus nowo-wschodnich. Jednakże przez 12 lat istnienia tej granicy ilość żubrów z 700 spadła na 300.

Wojny napoleońskie uratowały wprawdzie żubry od grabieży pruskiej i kłusowników, ale spokoju nie dały im wcale. Wojna przeniosła się na wschód, budząc mnóstwo nadziei i porywając ze sobą wszystkich i wszystko.

Który z was pamięta opis tej wiosny, w „Panu Tadeuszu“? Mickiewicz o tej wojnie powiedział:

Urodzony w niewoli, okuty w powieciu,
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu.

Ale nawet i Kazio nie umiał na pamięć tego opisu; wydobył jednak z kieszeni tanie wydanie „Pana Tadeusza“, które wziął z sobą na wszelki wypadek, i odczytał z niego ustęp, dotyczący puszczy i żubrów:

W puszczy łoskot: to kula od jakiegoś działa,
Zbłądziwszy w polu bitwy, dróg w lesie szukała,
Rwąc pnie, siekąc gałęzie. Żubr, brodacz sędziwy,
Zadrzał we mchu, najeżył długie włosy grzywy,
Wstaje na wpół, na przednich nogach się opiera.
I potrząsając brodą, zdziwiony spojiera
Na błyskające nagle między łomem zgliszcza.
Był to zbłąkany granat: kręci się, wre, świszczce,
Pękł z hukiem, jak piorun; żubr pierwszy raz w życiu
Zląkł się i uciekł, w głębszem schować się ukryciu.

Żubry, istotnie, mogły wówczas niejednokrotnie zetknąć się w wojną, część bowiem armii napoleońskiej przeciągała przez puszcę Białowieską. A kłusownicy tem bezkarniej uwijali się po niej.

Koniec wojen napoleońskich przyniósł nam zawód i rozczarowanie, żubrom zaś spokój i większą opieką.

Rząd, widząc rozpanoszenie się kłusownictwa, wydał bardzo surowe zakazy, zabroniwszy wogóle nie tylko polować, ale nawet wchodzić lub wjeżdżać do puszczy z bronią. Odjęto ja nawet osacznikom.

Te zakazy jednak miały i złą stronę, przyczyniły się mianowicie do rozmnożenia się wilków, na które już nikt nie polował. Nagromadziło się ich tyle, że zimą oblegały one leśników w chatach, i w ciągu kilku lat pożarły kilkadziesiąt żubrów. Tak, że trzeba było znów wydać umyślny rozkaz leśnikom, aby wytępilli zupełnie te zwierzęta. Obecnie wilki należą do nadzwyczaj rzadkich stworzeń w puszczy. W ogóle zwierzęta drapieżne zostały w niej wytępione prawie zupełnie: niedźwiedzi niema w niej wcale, ostatni został zabity przed laty 30; jest jeszcze trochę rysiów, ale w każdym razie niewiele.

Zato ilość żubrów powiększyła się znacznie i w ostatnich latach dosięgła, podobno, nawet tysiąca.

— Ale tak naprawdę—wtrącił Józio,—coby w tem było złego, gdyby żubry wyginęły, a nawet i cała puszcza Białowieska wraz z nimi.

— Niestety, naturalnie, nie byłoby żadnego, tem nie mniej jednak byłaby to wielka szkoda. Żubry

stanowią bardzo ciekawy okaz fauny dawnych lasów europejskich i zastępują na ochronę nie dla tego, aby móżdż od czasu do czasu urządzić na nie polowania, ale żeby nie dać zaginać temu ciekawemu zabytkowi natury. Urządzamy po miastach różne muzea, gabinety zoologiczne i inne; żadne jednak muzeum, żaden najpiękniejszy gabinet nie zastąpi takiego naturalnego zwierzyńca, takiej puszczy z zamieszkującymi w niej prawie na swobodzie zwierzętami. Poznawszy się na wartości takich naturalnych muzeów, ludzie starają się ochronić i ustrzedz od zagłady różne zakątki, będące pozostałością dawnej przyrody.

Tylko że nie jest to rzeczą tak łatwą, jak by się mogło wydawać. Ot, chociażby i żubry mają tu one dość znaczny obszar na mieszkanie; polować na nie nie wolno; strażnicy opiekują się nimi, tępiąc ich nieprzyjaciół i dbając o pokarm dla nich w zimie. A jednak mimo to gorzej im tu jest, niż było w prawdziwie dziewiczej puszczy, chociaż tam nikt nie troszczył się o nie.

Już sama obecność człowieka utrudnia im życie. Ci wszyscy strażnicy i dozorca potrzebują domów na mieszkanie, pól, łąk, bydła domowego, dróg porządných, drzewa na opał. Powstały więc w puszczy nie

tylko wsie, ale i miasteczka całe, bite gościńce, słupy telegraficzne i telefoniczne, a w ostatnich latach (w r. 1895) przeprowadzono nawet kolej; wszystko to zmieniło zupełnie warunki życia i pozbawiło żubry tego spokoju, jakie mają zwierzęta na zupełnej swobodzie.

I nietylko pod tym względem zmieniła się puszcza. Lasów jest coraz mniej, a zapotrzebowanie drzewa jest zawsze znaczne, zwłaszcza poszukiwane są duże i ładne drzewa. Więc i Białowieża nie od dzisiaj zapoznała się w siekierą drwala, a śliczne, wysmukłe jej sosny od wieków już wędrowały w świat szeroki.

Gdy Janek domawiał tych słów, koła wagonów zaczęły dudnić po moście, i oczom podróżnych ukazała się jakaś rzeka, przez którą właśnie pociąg przejeżdżał.

— Co to za rzeka? — zapytali jednogłośnie chłopcy.

— A to właśnie pierwsza zwiastunka puszczy, ciemna Narew, tocząca swe czarne wody w głębi puszczy Białowieskiej. Ta harda Narew, co nie chcąc utonąć w Wiśle, jeszcze po zlaniu się z nią długi czas płynie osobnym strumieniem, odcinającym się wyraźnie czarną barwą od żółtawych wód Wisły, jak powiada Klonowicz

Tam Narew leśna, którać zajdzie w oczy,
Z prawego brzegu czarne wiory toczy...
Przy swoim łądzie daleko się wieszają,
Stroną prowadzi, niż przyjdzie do zgody
Swe brudne wody.

Ta Narew właśnie była najstarszą drogą, po której Białowieża wysyłała swe płody w świat szeroki.

Jagiello, przygotowując się do wielkiej wojny z Krzyżakami, zjechał do puszczy Białowieskiej wraz z Witoldem (w r. 1409) i tu przez 8 dni obaj polowali z całym dworem, żeby się zaopatrzyć na wojnę w zapas grubej zwierzyny. Nazabijawszy moc żubrów i łosiów, kazali oni mięso nasolić i w beczkach splawiali Narwią, a potem Wisłą na Mazowsze.

W czasach pokoju ten sam Jagiello splawiał Narwią solone pieczenie żubrów aż do Krakowa, ale nie jako zapas wojenny, lecz na podarunki dla uczonych profesorów Akademii Krakowskiej, żeby i oni w ciasnych murach miasta mogli skosztować tego puszczańskiego przysmaku.

— A czy smaczne są te żubrów pieczenie?—zapytał nagle Józio.

— O! nowa zaleta!—krzyknął Julek—nie wiedziałem, żeś taki smakosz.

Ale Janek, nie zważając na tę przerwę, odpowiadał na pytanie Józia:

Podobno, ma ona smak mięsa jeleniego. W Polsce dawnej uchodziło za przysmak, o który ubiegali się nie tylko monarchowie i wielcy panowie; ale nawet leśnicy i inni mieszkańcy puszczy starali się mieć konieczne pieczenie żubrów na różnych uroczystościach, jak chrzciny lub wesela.

Zagadaliśmy się jednak znów o żubrów, mieliśmy mówić jeszcze o tem, jak Narwią splawiano drzewo z puszczy.

Zasłużony badacz dziejów naszych, nie żyjący już profesor uniwersytetu warszawskiego, Adolf Pawiński, robiąc poszukiwania starych dokumentów w archiwach w Madrycie i Lizbonie, znalazł tam dowody, że kupcy hiszpańscy i portugalscy już w początkach wieku XV kupowali w Polsce drzewo na budowę okrętów i na maszty do nich. A splawiali je z lasów do morza Narwią i Wisłą. Niema wprawdzie w dokumentach, znalezionych przez Pawińskiego, wyraźnej wzmianki o Bia-

łowieży, nie ulega jednak wątpliwości, że drzewo, spławiane Narwią, musiało z niej pochodzić.

Miał więc do pewnego stopnia słuszność Syrokomla, gdy pisał o sośnie litewskiej:

Pieszczota oceanu, dziwowisko świata,
Z twych bierwion wyciosana brytańska frageta.

Nie jest więc rzeczą niemożliwą, że na okrętach Kolumba, dążących na odkrycie nowych światów, sterczały dumnie, jako maszty, sosny białowieskie.

Ale taka sława nie przychodzi darmo. Poszukiwano takich pięknych, starych drzew, to też i wyrąbywano je sumiennie, a teraz wyrąbują jeszcze bardziej, bo drzew ładnych i starych coraz mniej. Już Mickiewicz wspominał o tem niszczeniu lasów.

A Kazio, wpadając bratu w mowę, zadeklamował:

Pomniki nasze! Ileż co rok was pożera
Kupiecka lub rządowa moskiewska siekiera!

To też teraz z każdym dniem coraz trudniej w Białowieży o piękne, stare drzewa. Nie bójcie się jednak: nawet i taką jak obecnie, Białowieża, jest bardzo ciekawym i godnym widzenia zabytkiem. Choć ma gościńce, koleje, wsie i miasteczka, są tam jeszcze i dzi-

siaj „uroczyska“ i „ostepy“, nie najdziksze wprawdzie, w każdym jednak razie takie, których nigdzie indziej już nie można zobaczyć.

— A powiedz nam, Janku, zapytał nagle Kazio, skąd powstała nazwa Białowieży? Czy znajdowała się tam kiedy jaka biała wieża, od której przezwano puszcę?

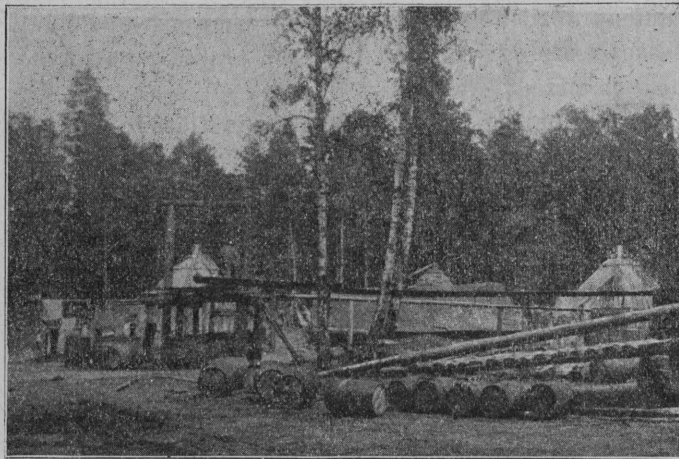
— Pytanie niby łatwe, a jednak dość trudne, jak wogóle pytania o pochodzeniu nazw różnych miejscowości, sięgających odległych czasów. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że mógł tu istnieć jakiś zameczek któregoś z książąt litewskich, ozdobiony białą wieżą. Ale czy był on istotnie, kiedy i w którym miejscu mianowicie, tego nie wiemy i nie dowiemy się chyba nigdy. Pierwsza pisana wzmianka o Białowieży znajduje się w dziele Długosza, z połowy wieku XV. Wtedy więc już puszcza nosiła tę nazwę. I na tej wiadomości musimy poprzestać.

III.

Przyjazd do puszczy.

(Dalsza droga kolejną.—Opowiadanie o podróżach Glogera.—
Charakter drzew w puszczy.—Mazurzy w Białowieży).

Niedużą, bo nie pełną 40-wiorstową odległość między Białymstokiem a Bielskiem, przejechano nieopatrzenie. Nie dla tego wprawdzie, aby pociąg podążał zbyt szybko, zużył on bowiem na tę przestrzeń prawie dwie godziny, ale gawędka z Jankiem i rozpytywanie się go o różne szczegóły wypełniły czas tak dalece, że chłopcy ani się obejrżeli, jak przed samą szóstą stanęli w Bielsku, gdzie trzeba było znów się



Smolarnia w puszczy Białowieżkiej.

przesiadać już do czysto lokalnego białowieskiego pociągu.

Wyglądał on mało zachęcająco.

— Gdzież my się tu pomieścimy?—dopytywał się zdumiony Józio, próżno upatrując osobnych wagonów w długim szeregu pustych platform i kilku towarówek, stojących przed dworcem.

— A no, pojedziemy na pustej platformie, będzie nam przewiewniej. Przecież innego pociągu niema.

Innego istotnie nie było, a na dworcu kręciła się spora gromadka podróżnych, prawie wyłącznie żydów i włościan. Ruszywszy za nimi, chłopcy przekonali się, że na końcu pociągu znajdowały się wagony osobowe: jeden drugiej i jeden trzeciej klasy.

— Arystokracya nie odwiedza, widocznie, puszczy, kędy nie przygotowano dla niej pierwszej klasy, — rzekł Julek.

— Albo jeździ umyślnymi pociągami, — dodał Kazio.

— Co za szczęście, że my nie jesteśmy arystokracyą, bo byśmy musieli czekać na ten umyślny pociąg.

— Albo jechać na własnych nogach, per pedes apostolorum.

— Nie mów-no dużo, a siadaj prędzej, bo ci tak pozajmują miejsca, że będziesz musiał stać na własnych nogach!—podpędzał Janek.

W wagonie było porządnie ciasno, nie dla tego coprawda, że do Białowieży jechało zbyt dużo osób, ale dla tego, że wagon był tylko jeden. Jakoś się jednak ulokowano.

Pociąg ruszył z wielkim hałasem, zgrzytem i sapaniem, ale z nie nazbyt wielką szybkością, nie o wiele jednak gorzej od białostockiego, choć tamto przecie była główna linia, a to bocznica.

Po drodze mijano pola, pagórki, gaje, wsie, rzeczulki; nie tylko jednak Białowieży, ale wogóle żadnych większych lasów nie było nigdzie widać.

— Czyś ty aby, Janku, pewny, żeśmy siedli do właściwego pociągu?—spytał nagle Julek:—bo mnie się zdaje, że my jedziemy nie do puszczy, ale od puszczy. Przecież koło Warszawy większe były lasy.

— Będzie, będzie i puszcza, nie obawiaj się! Wspominałem wam już przecie, że najbliższe jej okolice są prawie zupełnie bezleśne. Ale niedługo ujrzymy już i samą puszczy. Bądź co bądź, jedziemy pociągiem, a nie tak jak Gloger, który włókł się z kilku

towarzyszami olbrzymim drabiniastym wozem z budą płócienną. Prędko nie jechali, to prawda, ale zato robili wrażenie: żydzi w miasteczkach brali ich za wędrownych akrobatów, a włościanie w puszczy i okolicy za jakąś ważną komisję rządową, wóz bowiem był zaprzężony aż w 6 koni, sądzili więc, że nie byle kto nim jedzie.

— Szkoda, że my tak nie jedziemy, — zawołał Julek, — byłoby to znacznie oryginalniej, niż to cywilizowaną europejską koleją, zupełnie nie pasującą do puszczy.

— Gloger odwiedzał puszcę Białowieską kilkakrotnie, — ciągnął dalej Janek — raz, mianowicie w r. 1882 wspólnie z Henrykiem Sienkiewiczem, który opisał nawet tę wycieczkę w osobnem opowiadaniu. Sam zaś Gloger wydał ładne album „Białowieża w albumie“ z widokami i opisem puszczy.

Jeszcze czas jakiś jechano bez lasu, wśród pól i pagórków.

Dopiero na milę drogi przed stacją Hajnówka zamajaczył na widnokręgu długi i wązki ciemny pas. Była to puszcza. Chłopcy powitali ją okrzykiem. W miarę zbliżania się stawała się ona coraz barwniej-

szą, najpierw ciemno-błękitną, następnie zieloną. Pas, przypominający początkowo chmurę, stawał się coraz wyraźniej lasem i już bez trudu można było odróżnić w nim szeregi wysokich drzew i niższych zarośli, stanowiących podszycie.

— Nareszcie dojeżdżamy do puszczy, ale ja, przynajmniej dotychczas, nie widzę jeszcze w niej nic nadzwyczajnego! — zauważył Kazio.

— I to ty tak mówisz, amator poezyi i piękna? — wołał Julek: — czyż nie widzisz, jaki to olbrzymi las, jak szeroko rozciąga się przed nami! Co to tam musi być we środku?

— Tego właśnie nie widziałem jeszcze. A tymczasem las, jak las, może trochę większy od tych, co pod Warszawę.

Zatrzymano się na stacji Hajnówka, leżącej tuż pod okazałym sosnowym borem, którą zwartą ścianę wysokich, smukłych i gibkich drzew zamykał sobą widnokrag. Dołem czerwieniły się proste, strzeliste pnie, w górze kołysały się z wiatrem zielone ich korony.

— Może i to nie ładny las? — zapytał Julek.

Ale w Kaziu wyrobiła się zaciętość, jak to nieraz bywa w dyspacie. Odrzekł więc:

— Ładny, nie przeczę, ale takie same bory mamy koło Wawra i Miłosny. To dla mnie jeszcze nie puszcza.

— A to ci wybredny pasażer!..

Po niezbyt krótkim postoju w Hajnówce, pociąg ruszył dalej ku stacji Białowieża.

— Czemuś nie odfotografował tego pierwszego widoku puszczy?..—zapytał nagle Julek Józia:—czasu tu było tyle, że mogłeś nie tylko zrobić zdjęcie, ale jeszcze wywołać, utrwalić, skopiować, nawet zanieść do Warszawy pokazać rodzicom i wrócić.

— Ech, będę robił zdjęcia, jak wysiadziemy z pociągu.

Teraz jechano już lasem. Po obu bokach drogi wznosiły się drzewa, przeważnie sosny, o pniach wysokich, prostych i smukłych, pozbawionych zupełnie gałęzi, z wyjątkiem niewielkiej korony u wierzchołka.

— Potraciły dolne gałęzie, — zauważył Janek. — Zwykła to właściwość drzew z wielkich gąszczów i wielkich lasów: każde z nich dąży do światła i rośnie przedewszystkiem na długość; zacienione zaś dolne gałęzie, usychają, giną i odpadają. Utrzymują się na pniu jedynie górne, które wyrosną powyżej innych

drzew. Są to jakby wzajemne wyścigi do słońca. Lud wyraża to poetycznie, mówiąc, że wszystkie drzewa dążą do tego, by „pogadać z niebem“. A Sienkiewicz bardzo dowcipnie określił tę właściwość drzew puszczańskich w sposób następujący: każde drzewo myśli tu o grubości dopiero wówczas, kiedy się już załatwiło z wysokością i wierzch w słońcu kapać może.

— Są jednakże drzewa i krzewy, rosnące w cieniu i obchodzące się bez większego słońca.

— O, jest ich nawet dużo! Są to gatunki uzdolnione do poprzestawania na mniejszej ilości światła i dla tego doskonale im się powodzi w cieniu. Tworzą one tak zwane „podszycie“ wielkich lasów.

— Czy i teraz puszcza przypomina ci lasy pod Miłosną?—zapytał nagle Julek Kazia.

— Teraz już nie, wygląda jakoś inaczej, ale zawsze jeszcze zamało dziko: nie taką ją sobie wyobrażałem.

— Wygląda inaczej, bo są tu drzewa liściaste obok sosen. Widzisz tu, tam — wołał przejęty Julek, pokazując osiki, graby, dęby:—nie wiem wprawdzie, co to za drzewa, bo mi je trudno poznać z okien wagonu, widzę jednak, że liściaste i że ładnie wyglądają.

— Dobrześ zauważył,—rzekł Janek:—ten miesza-
ny charakter drzew obok ich gęstwiny stanowi cha-
rakterystyczną cechę tutejszej puszczy. Sosna wpraw-
dzie przeważa tutaj, ale obok niej rośnie mnóstwo in-
nych drzew, tworząc czasami jednolite połączenie lasu,
częściej jednak w pomieszaniu jedne z drugimi. To
właśnie nadaje puszczy wielki urok, wielką różnorodność
zieleni, której znajdujemy tutaj różne odcienie: od
ciemnych, prawie czarnych świerków do jasnych brzo-
z i klonów. Ładną jest puszcza nawet już i tutaj, ale
i Kazio ma słuszną, że chce czegoś dzikszego, bar-
dziej ponurego, więcej puszczańskiego, ostępów, ma-
teczników, uroczyisk... Po to przecie przyjechaliśmy
tutaj.

— Tak, tak,—zawołał Kazio:—tego mi się chce
właśnie, tego jądra puszcza, o którym napisał Mickie-
wicz:

Któż zbadał puszcze litewskich przepastne krainy,
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszczy litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wewnętrzne serca tajemnice.

Wiesz tylko albo bajka wie, co się w nich dzieje;
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni,
I siecią zielsk zarosłych, i kopcami urwisk,
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami węzowisk.
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiem męstwem,
Dalej spotkać się w większym masz niebezpieczeń-
Dalej co krok czyhają, niby wilcze doły, [stwem;
Małe jeziorzka, trawą zarosłe na—poły,
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą,
(Wielkie jest podobieństwo, że dyabły tam siedzą).
Woda tych studni śklni się, plamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą.

— Brr! aż się zimno robi od tych szerszeni, wę-
zów, plugawych jeziorzok!.. Czy tylko są jeszcze i dziś
takie ostępy i uroczyiska?

— Jest ich znacznie mniej i nie takie dzikie,
ale w każdym razie warte widzenia, — odpowiedział
Janek.

Po trzech kwadransach jazdy pociąg stanął u kre-
su drogi, na stacyi Białowieża. Podróżni wysiedli.

— I to może Miłosna i Mazury? — pytał Julek pokazując włościan w szarych siermięgach i chodakach, łykowych.

— Widzę, widzę, że to już nie Mazowsze i nie Mazury — odparł Kazio — i przypomniawszy sobie ustęp o Litwie z „Pieśni o ziemi naszej“, dodał:

Koń obłoczny w wózkach małych,
Lud w chodakach w łyku szytych,
W chatach dymem ogorzałych,
Dranicami płasko krytych.

Jakież jednak było zdumienie chłopców, gdy, wdawszy się w rozmowę z włościanami, przekonali się, iż jeden z nich był Mazurem, mówiącym po polsku, chociaż wybitnie przeciągłym, litewskim akcentem; i to nie jakimś przybyszem chwilowym, ale osiadłym puszczakiem, z dziada, pradziada.

Szczególnie Kaziowi nie mogła się pomieścić w głowie ta niespodziewana obecność Mazura w puszczy.

Ale Janek wyjaśnił zagadkę:

— W puszczy znajdują się całe wsie Mazurów, zwanych tu budnikami. Zostali oni sprowadzeni z nad Wisły w wieku XVIII przez Tyzenhauza, który ich tu

osadził, jako specjalistów do wypalania smoły, dziegiu i potażu. Do dziś dnia budnicy różnią się większym wzrostem i ładniejszą budową od miejscowych mieszkańców. Są też bardziej hardzi i dumni: powiadają o sobie, że zostali sprowadzeni jeszcze za królów, jako wyborowi i zdatni ludzie.

Zabrawszy tobołki, wyruszono ku wsi, dla wyszukania noclegu. Ale przedtem Józio na pamiątkę zrobił zdjęcie dworca.

IV.

W Nowej Białowieży.

(Nowa Białowieża.—Polowanie Augusta III.—Nieco geografii puszczy).

Jako punkt główny na mieszkanie i podstawę do wycieczek obrano wieś Nową Białowieżę. Położona mniej więcej w samym środku puszczy, nadawała się ona wybornie do tego celu. Duże i porządne chaty mieszkańców, wyglądające na małe dworki, obiecywały, że nie trudno tu będzie o miejsce na nocleg.

Istotnie, znaleziono wkrótce porządną izbę, a gościnna gospodyni obiecała nawet ugotować obiad, żeby

wędrowcy nie musieli poprzestawać na zimnych warszawskich zapasach.

Podczas gdy gospodyni wzięła się do przyrządzania obiadu chłopey, nie chcąc tracić czasu na próżno, wyruszyli na oględziny wsi.

Wieś była imponująco duża i bardzo porządnie zabudowana: nie jedno miasteczko mogłoby się przed nią powstydzić.

— Nowa Białowieża ma zajmować około 11 wiorst kwadratowych obszaru, — mówił Janek, — jest więc istotnie ogromną wsią. I odgrywa też ważną rolę: tu bowiem mieści się zarząd puszczy, tu się znajduje pałacyk cesarski. Tu w XVI wieku miał istnieć królewski zamek, po którym jednakże nie zostało wyraźniejszych śladów. Według innych podań August III kazał tu wystawić drewniany pałacyk myśliwski, do którego następnie Stanisław August przybudował dwa pawilony. Ale w r. 1812 jazda francuska pod wodzą generała Latour-Ma Bourga, przechodząc przez puszcę, zniszczyła wszystko. Obecnie jest tu nowy pałacyk myśliwski, wzniesiony przez cesarzów rosyjskich i będący miejscem ich pobytu w czasie, gdy zjeżdżają do puszczy na polowania.

Uzyskawszy pozwolenie, chłopcy obejrzeni pałacyk, zbudowany w stylu wiejskich domów rosyjskich, z wysokimi dachami, wieżyczkami, mnóstwem ozdób, rznionych w drzewie. Naokoło otaczały go trawniki, pięknie utrzymane, klomby kwiatowe, grupy drzew. Wznosił się nawet słup z latarnią elektryczną, na którą bardzo kręcił nosem Julek, wróg wszelkich wymysłów cywilizacyjnych w puszczy.

— A czy niema tu żadnych pamiątek po dawnych lowach? — pytał Kazio.

— Zbyt starych niema wcale, ale jest jeszcze słup, na pamiątkę polowania Augusta III, — odpowiedział Janek.

Uszedłszy kawał drogi, chłopcy ujrzeli czworokątny obelisk z piaskowca, wysoki na 3 do 4 metrów, a wznoszący się tuż prawie nad rzeką Narewką.

Napis, wryty na nim po polsku i po niemiecku, głosił, iż wzniesiono go na pamiątkę polowania, które tu urządził August III—27 września 1752 r. Napis wylizczał długą litanję uczestników tego polowania, na którym obecni byli, oprócz króla, królowa, dwaj królewicze, cały dwór oraz mnóstwo panów polskich i niemieckich.

— Ho! ho! — mówił Kazio, uczczono nawet leśniczych i strzelców, bo i ich nazwiska znajdują się na słupie.

— A na polowaniu zabito 42 żubry, z którą największy ważył 1450 funtów polskich, — czytał dalej Julek, — ale myśliwi pewnie nie uganiłi się za niemi z oszczepami, jak to dawniej bywało, — dodał szyderczo.

— Może jeszcze strzelali do nich z armat? — do rzucił Kazio.

— Prawie, że tak! — odpowiedział Janek. — Te lowy Augusta, zarówno, jak i dzisiejsze polowania w puszczy, nie mają już nic z dawnej tężyzny i dawnego hartu. Są raczej jedynie zwykłym zabijaniem zwierząt, prawie bez żadnego niebezpieczeństwa dla myśliwych.

Opis tego polowania Augusta III podał nam niejaki Brincken, autor dziełka o Białowieży, wydanego w r. 1828. Sam wprawdzie nie był on jego świadkiem, ale zapisał opowiadania od takich, którzy je pamiętałi.

Polowanie to odbyło się w jednym z ostępów straży Augustowskiej, nad małą rzeczką Jolarką. Obławę składało około tysiąca włościan z mnóstwem psów! Napędzili oni moc zwierzyny do wybranego ostępu,

który otoczono siecią i ogrodzono płotem. W jednej części tego ogrodzenia, przezwanego „wielką kletnią“ albo „Królewskim ogrodem“, rozbito namioty dla króla i jego świty i w tę stronę pędzono zwierzynę, do której strzelił król i jego świta. Nawet i królowa brała czynny udział w tem polowaniu, a udział jej daje nam najlepsze pojęcie o jego charakterze: Królowa, podobno, zajęta była czytaniem książki, i strzelała tylko od czasu do czasu, jakby od niechcenia. Nie chybiła zaś ani razu i zabiła ogółem 20 żubrów. Nie były to więc wcale niebezpieczne, ani męczące łowy!

— Po prostu mordowanie biednych żubrów, oszomionych krzykiem i hałasem obławy, — rzekł Kazio.

Obejrzawszy obelisk, wrócono do domu, ale że obiad nie był jeszcze gotów, Janek, żeby nie tracić darmo czasu na czekanie, wydobyl mapę puszczy i zaczął obznajmiać z nią chłopców:

Puszcza Białowieska rozciąga się po obu stronach rzeki Narewki, nad którą właśnie znajdujemy się obecnie. Niema ona naturalnych granic, w rodzaju rzek lub rzeczek i z biegiem lat ulegała nie tylko zmniejszaniu się wskutek wytrzebienia po brzegach, ale i powiększała się niekiedy, jak np. po r. 1831, kiedy rząd

dołączył do niej sąsiednią puszcę Świsłocką, położoną za rzeką Narwią i należącą dawniej do Tyszkiewiczów. Ale zato w ostatnich latach rząd znów posprzedawał kawałki puszczy na północy i południu, tak, że obecnie nie dochodzi już ona na północy do Narwi, jak dawniej.

Obszar jej wynosi około 22 mil kwadratowych, czyli mniej więcej 1000 wiorst; z tego 845 wiorst zajmuje las, 155—pola, łąki i ogrody, resztę zaś stanowią nieużytki. Obród puszczy, z powodu znacznej ilości klinów, wchodzących w jej głąb, jest stosunkowo duży i wynosi 170 wiorst. Największa rozciągłość z zachodu na wschód wynosi 45 wiorst; największa z północy na południe 44; najmniejsza tylko 25.

Obszar, zajęty przez puszcę Białowieską, stanowi niewysoko wzniesioną równinę o słabem sfalowaniu i licznych bagnach torfiastych, z których wypływają rzeki i rzeczki puszczańskie. Płyną one stąd na wszystkie strony. Na zachód i północ, ku Wiśle i Bałtykowi, z pośrednictwem Narwi; tam też ostatecznie podążają wody południowe, wlewające się do Bugu. Mała tylko część rzeczek z południowo-wschodniego kąta płynie do Dniepru i morza Czarnego. Rzeki więc

puszczy należą do zlewisk dwu mórz, ale w przeważnej części do Bałtyku. Główny dział wodny znajduje się w południowo-wschodniej jej części. Tam też leży najwyższe jej wzniesienie, zwane Kozią Górą, a mające 400 metrów wysokości nad poziomem morza, gdy puszcza wogóle wzniesiona jest mniej więcej na 170 metrów.

Największą rzeką puszczy jest Narew, mająca źródło na wschodnim jej krańcu, w uroczysku, zwanem „Orłowo błoto“. Płyńie ona na przestrzeni prawie 30 wiorst samym brzegiem puszczy Białowieskiej, którą oddziela od przyłączonej do niej obecnie Świsłockiej. Jest mocno bagnista i ma bieg powolny.

Znacznie ważniejszą rzeką od Narwi jest Narewka, lewy jej dopływ. Wypływa on z błota, zwanego Nikorskiem i położonego również na wschodnim krańcu puszczy, ale bardziej na południe. Narewka płynie samym środkiem puszczy, dzieląc ją na dwie prawie równe części. Długość jej w puszczy wynosi do 60 wiorst i z tego jest ona spławna na przestrzeni 35 wiorst. Ona więc stanowi główną, naturalną drogę w puszczy, do spławiania jej produktów. Nad nią też leży najważniejsza w puszczy miejscowość—Nowa Bia-

łowieża, a niżej, już na granicy dzisiejszej puszczy, miasteczko Narewka. Narewka wpada do Narwi o 6 wiorst po za obecną granicą puszczy.

Narew i Narewka zbierają wody z wschodniej, środkowej i północnej części puszczy; z południowo-zachodniej zabiera je rzeczka Leśna, będąca dopływem Bugu, do którego wpada, niedaleko słynnego w dziejach męczeństwa unitów Pratulina, i stamtąd, zlawszy z nim swe wody, podąża już razem do Serocka, gdzie Bug łączy się z Narwią, i potem wraz z nią wpada do Wisły. W ten sposób białowieskie wody, wypłynawszy z dwu końców macierzystej puszczy—Narwią i Leśną, spotykają się znów na Mazowszu, aby razem wlać się do Wisły. Puszcza więc znaczną swą częścią należy do jej dorzecza. Ludność puszczy atoli składa się przeważnie z Rusinów, Polaków znajduje się tu znacznie mniej; są to przytem przybysze z późniejszych czasów, przeważnie budnicy, o których Wam już mówiłem.

Widzieliście już sami, że puszcza zaludniona jest niezgorzej. Jest tu ogółem 36 wsi mniejszych i większych oraz kilka miasteczek. Nas zresztą obchodzą teraz nie wsi i miasteczka, ale przedewszystkiem ostę-

py, mateczniki, wszystkie te miejscowości, gdzie ludzi jest najmniej, a zato najwięcej pierwotnej przyrody.

Dziś po południu zrobimy sobie małą wycieczkę, gdzieś tu, w najbliższe okolice Nowej Białowieży, dla pierwszego zapoznania się z puszczą. A od jutra zaczniemy zwiedzać ciekawsze zakątki, położone w różnych jej stronach.

Na tem Janek skończył, bo właśnie gospodyni oznajmiła, że obiad jest gotów.

V.

Pierwsza przechadzka po puszczy.

(Gonność drzew i ich gatunki. — Mierzenie i fotografowanie drzew. — Ulewa. — Spotkanie ze strażnikiem.

Po obiedzie wyruszono na wycieczkę. A że nie miano zamiaru zapuszczać się zbyt daleko a chciano zakosztować odrazu smaku samodzielnej wycieczki, udano się więc w drogę bez przewodnika. Pakunki i peleryny pozostawiono we wsi, żeby mieć zupełną swobodę ruchów. Było wprawdzie dość gorąco, ale pogoda wydawała się zupełnie pewną. Chłopcy wzięli ze sobą jedynie nieco prowiantów oraz teczki i puszki

na zbiory. Tylko Józio zdecydował się dźwigać pelearną, z obawy, aby mu nie zamókł aparat fotograficzny w razie deszczu.

Wyszedszy ze wsi dość szerokim gościńcem, gromadka nasza bardzo prędko skręciła w bok leśną ścieżką, żeby od razu wejść w gąszcz i zobaczyć prawdziwą puszcę, nie pofalszowaną przez człowieka, jak mówił Janek, gościńcami, drogami i porębami.

Póki chłopcy szli borem, droga nie przedstawiała wielkich trudności. Ale wkrótce natrafili na las liściasty i tu już trzeba było nieraz wyszukiwać umyślnie drogi, żeby wyminąć gęsto splecione krzewy.

Julek, zawodowy przyrodnik, starał się nie uronić swej sławy i co chwila udzielał objaśnień historykowi i fotografowi.

— To jesion, — mówił poważnie, wskazując na wysmukłe drzewo o gładkiej korze i pierzastych jasno-zielonych liściach. Ależ wysokie i proste!

— Jesion, to może i sami poznamy, — przerwał mu Józio; — lepiej powiedz nam, co to jest takiego?

I wskazał ręką wysokie, nadzwyczaj gęste drzewa, o szarawej, dość popękanej korze i prostym pniu,

dźwigającym nie wielką koronę gałęzi z liśćmi, gdzieś tak wysoko, że jej prawie nie sposób było dojrzeć.

Julek nawet nie próbował odgadnąć:

— Jakże chcesz, bym ci powiedział, kiedy ani jednego listeczka nie mogę zobaczyć.

— A widzisz, żeś nie dorósł botaniką do wysokości drzew w puszczy.

Julek kapitulował:

— Po korze to, ja nie umiem poznawać.

Janek pośpieszył mu z pomocą:

— To jest lipa: jeśli komu nie wystarcza kora, to ma tu na ziemi orzeszki z charakterystycznym żagielkiem na szypułce. No, i jest tu parę młodziutkich lipeczek, rosnących skromnie u stóp starej; kto wie jednak, czy uda im się wybić, czy raczej nie zginą tutaj zagłuszone. Tę lipę jednak istotnie trudno poznać, tak zupełnie odmienną jest od naszych: zapatrzyła się na gonne sosny puszczańskie i poszła w ich ślady. Gdzież jej okazałe szerokie konary, jakieśmy przywykli widzieć w mniejszych lasach i ogrodach? I jej widocznie zachciało się „z niebem pogadać“, naśladować smukłe sosny masztowe.

Wszędzie tu gonność drzew rzucała się w oczy: brzozy czy wiązy, graby, osiny, klony, brzozy, olchy, wszystko to odznaczało się tą samą wysmukłością i koronami w górze, z tą tylko różnicą, że nie wszystkie dorastały do jednakowej wysokości. Nawet majestatyczne królewskie dęby, zamiast rozrastać się mocarnie wszere, brały udział w tych wyścigach mniejszej braci leśnej i również rosły przedewszystkiem w górę, niebotyczne, proste, zapomniawszy zupełnie o rosochach i pokręconych gałęziach, po których zwykle można je poznać zdaleka.

— Czysty kłopot z temi puszczańskimi drzewami,—woła Julek,—wyglądają zupełnie inaczej, niż u nas.

— Ładnie tu, bo ładnie,—dodaje Kazio,—ale gdzie są te wielkie zwały próchniejących starych drzew? gdzie te stare olbrzymy, o których można by powiedzieć, że są na prawdę „rówiennikami litewskich kniaziów“? Przecie te drzewa nie są chyba tak bardzo stare? — dodał, zwracając się do Janka.

— Tak, te jeszcze nie są wcale bardzo stare. Zresztą te stare drzewa przerabano już porządnie, a nowe przecie nie postarzają się tak na poczekaniu. Na to trzeba długo czekać! Mam jednak nadzieję, że

uda się nam zobaczyć i tych patryarchów leśnych. Przecie dopiero cośmy się przywitali z puszczą: trudno wymagać, aby wszystkie swe skarby pokazała nam od razu.

Po drodze Janek zbierał i wkładał do teczki różne rośliny. Julek, pochłonięty drzewami, nie zwracał uwagi na ziola, ale ciągle robił uwagi o lesie.

— O, już się kończyły drzewa liściaste, i znów zaczynają się iglaste; ale to nie sosny, lecz świerki. Takie same jednak jak wszystko, bez gałęzi dołem, choć przecie świerk ma je zwykle aż do samej prawie ziemi.

— Tak, ale świerk parkowy, lub rosnący na osobności, gdzie nic nie krępuje go z boku, nic nie przeszkadza mu rozrastać się na wszystkie strony. Tutaj w walce z współbraćmi i innymi sąsiadami, traci on również dolne gałęzie, zachowując je dopiero na pewnej wysokości, ale w taki sposób, że pozostaje mu jednak piramidalny charakter korony—tak dla niego charakterystyczny. Wygląda też bardziej ponuro od sosny. Uważajcie tylko, że tu jest znacznie ciemniej, niż w sosnowej części boru. Ładne to drzewo, ale sosna weselsza od niego. Sieroszewski powiada o nim,

że ma kształt dzwonnicy, a charakter mistyczny i porównywa go z zakonikiem, ubranym w ciemny habit, który spuszcza mu się aż do samych stóp i dodaje mu powagi. Kiedy wiatr wieje, on nie śpiewa, nie jęczy, ale szepcze modlitwy i gderze.

— A jodły tu niema? — pytał Kazio, — to takie ładne drzewa, ładniejsze od świerka!

— Jodła wogóle nie rośnie na Litwie, ani na Białej Rusi. A jeśli mówią tam często o jodłach i jodelkach, to mają zawsze na myśli świerk, przezywając go jodłą z rosyjska, od rosyjskiej nazwy „jel“, „jolka“. Jednakże tu, w puszczy Białowieskiej, rośnie i prawdziwa jodła, w ilości kilkuset okazów na nieprzystępnej kępie, w uroczysku, zwanem „Cisówką“ albo „Cisanką“. Lud nazywa ją „białym cisem“ dla białej kory i układu igieł, jak u cisu; i stąd zapewne poszła nazwa tego uroczyska. Postaramy się być i tam.

Las urwał się nagle, i podróżni z ciemnej gęstiny świerków wyszli raptem na niedużą, ale bardzo ładną polankę.

— Ależ to olbrzym, — zawołał Kazio, wskazując na skraju lasu, prześliczny, wysoki świerk z gałęziami prawie od samej ziemi, — ten to ma dopiero habit do

samych stóp. Ciekawy też jestem, ile wynosi jego wysokość?

— Nic łatwiejszego, jak zmierzyć. A zrobić to warto, świerk bowiem należy do najwyższych drzew w puszczy.

— Przecież nie wleziemy na niego ze sznurkiem, — zauważył Józio, a dwaj inni chłopcy pokręcili tylko bezradnie głowami.

Janek się roześmiał.

— I uczyło się to jeometrii i zna trójkąty podobne, a drzewa zmierzyć nie może, bez włożenia na wierzchołek. A każdy chłop to potrafi zrobić!

I tu Janek wyłożył chłopcom zasadę mierzenia wysokości drzew, przy której mierzący kładzie się w pewnej odległości od drzewa na ziemi, wbijając sobie przy nogach kij w taki sposób, aby wierzchołek drzewa, koniec kija i oko patrzącego leżały na jednej prostej. Tworzą się wówczas dwa podobne trójkąty, z których można wyliczyć wysokość drzewa ze wzrostu mierzącego, odległości jego od podnoża drzewa i długości kija.

Julek położył się na ziemi i starał się przez kij zobaczyć wierzchołek świerka. Nasuwał się wprawdzie

dość po trawie, zanim znalazł właściwą pozycję, ale ostatecznie zmierzono drzewo, chociaż naturalnie tylko w przybliżeniu. Wysokość świerka wypadła okrągło 36 metrów.

— Dobry wzrost!—rzekł Janek.

Chłopcom zachciało się zrobić jeszcze jeden pomiar. Dopatrzyli w innym kącie polanki wysoki dąb; powstał zaraz spór, które w dwu drzew jest węższe, omal, omal, że nie porobiono zakładów. Szczególnie Julek obstawał zażarcie przy świerku, który od chwili zmierzenia uważał, jakby za swoją własność.

Tym razem pomiaru dokonał Kazio, Józio zaś miał odfotografować oba drzewa.

Dąb jednakże nie dorównał świerkowi; miał on zaledwie koło 24 metrów, co jest niby wzrostem niezgorszym, ale zawsze co 24, to nie 36, jak mówił z dumą Julek.

Ale Kazio stanął w obronie „swojego“ drzewa.

— A które zato grubsze?

Tu właściwie nie można było się nawet spierać: świerk był zupełnym chudziwą przy krępym, grubym dębem. Objęto jednak dąb we czterech i ręce skrajnych chłopców ledwie się zeszły.

— Ma, napewno, dobrych 6 metrów obwodu!

Świerka zato nie sposób było zmierzyć: tak powysuwał daleko swe kościaste łapy na wszystkie strony, że nie tylko nie sposób było marzyć o osiągnięciu w jakikolwiek sposób jego pnia, ale go nawet zobaczyć było trudno.

— Wstydzi się, że taki chudy, jak patyk!—drwił Kazio.

— Ale zato przez wszystkich może z niebem rozmawiać.

Tymczasem Józio zaczął ustawiać aparat. Julek i Kazio usiedli każdy pod „swojem“ drzewem dla porównania, jak mizernie i drobno wygląda człowiek wobec olbrzymich drzew puszczy.

— Lilipuciki! — żartował Janek.

— Ale kto wie za to, czy na nasze marne lilipucie głowy nie kładzie się w tej chwili cień, który

Spadał niegdyś na koronne głowy
Groźnego Witenesa, Wielkiego Mindowy
I Gedymina

— Brak Wam tylko niedźwiedziej skóry i ogni-

ska myśliwskiego, przy którym moglibyście się posilać żubrzymi pieczeniami i słuchać pieśni mądrego Lizdejki.

Klap! stuknął aparat Józia, robiącego w tej właśnie chwili zdjęcie drugiego drzewa. Poczem sam fotograf dodał:

— Po ciężkiej pracy pomiarów i fotografowania wnoszę projekt odpoczynku: zamiast niedźwiedziej skóry mamy świeżą puszczańską trawę—albo moją pelerynę, kto nie chce samej trawy; zamiast żubrzej pieczeni,—wczorajsze warszawskie kotlety i chleb,—zabieramy się więc do obiadu!

Projektowi przykłaśnięto jednogłośnie, spożyto prawie w jednej chwili szczupłe zapasy i po krótkim wypoczynku zagłębiono się znów w las z drugiej strony polanki

Uszedłszy kilkaset kroków, chłopcy stanęli zdumieni: oczom ich przedstawiło się znów miejsce, oczyszczone z drzew, ale najwidoczniej w sposób gwałtowny, wyglądało ono, jakby pobojuwisko: tyle tam drzew leżało poprzewracanych. Na samym przodzie, u stóp kilku wyniosłych świerków, leżał stary, tęgi dąb, wyrwany z korzeniami. Szeroka podstawa jego z rozcho-

dzącymi się korzeniami i z zaplątaną ziemią w ich rozgałęzieniach, wyglądała, jak wielka czarna ściana, kryjąca poza sobą jakąś tajemnicę.

Józio wdrapał się na plecy Julka, ale i w ten sposób nie mógł dostać do wierzchu tej ściany. Dopiero wspiawszy się na ramiona Janka, z ledwością sięgnął palcami górnego jej brzegu, ale nawet i wtedy nie mógł zajrzeć po za nią. Kazio tymczasem obszedł ją i wdrapawszy się na powalony pień, usiadł na nim i zaczął deklamować Pana Tadeusza:

Na dołę jak ruiny miast: tu wywrót dęba
Wysterka z ziemi, nakształt ogromnego zręba;
Na nim oparte, jak ścian i kolumn obławy,
Tam gałęziste klody, tu wpółzgnile trawy,
Ogrodzone parkanem traw. W środek tarasu
Zajrzeć straszno, tam siedzą gospodarze lasu,
Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości
Napót zgryzione jakichś nieostrożnych gości.

— Oto są, — wołał Julek, podnosząc tryumfalnie z ziemi jakąś kość,— taki sam los czeka i nas, jeżeli ośmielimy się przejść te zwały i klody i wstąpić w krainę, przed którą ostrzega Mickiewicz

Za temi jeziorkami już nie tylko krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem,
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.

— A jednak musimy tam pójść,—odrzekł Kazio, bo
za tą mgłą na koniec (jak wieść geniusza głosi)
Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica
Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.

I stanawszy na wywalonym pniu, Kazio zaczął
podążać w stronę Julka, deklamując patetycznie „Pana
Tadeusza“, gdy nagle stracił równowagę i runął w dół
między gałęzie. Nic mu się wprawdzie nie stało, ale
jeden bok teczki zielnikowej uległ dość znacznemu
przełamaniu, czapka znikła gdzieś zupełnie między ga-
łęzmi, a włosy Kazia przyozdobiły się suchymi liśćmi.

— Nadwornego poetę puszcza uczciła wieńcem dę-
bowym

— I naznaczyła go kresą przez czoło.

-- A co najważniejsza zabrała mu czapkę.

Czapkę jednakże wyciągnięto z pod gałęzi, kresa
mogła być uważana za niezbity ślad pobytu w puszczy,

a taka... była jeszcze bez roślin. Nie rozpaczano więc
zbyttno nad tym wypadkiem i ruszono w dalszą drogę.

Hej! ostrożnie,—krzyknął nagle Julek, który w za-
pale podróżniczym, wysunął się o kilkadziesiąt kroków
naprzód:—bagno jakieś!

Istotnie, nogi zaczęły zapadać w błoto, woda try-
ska z pod nich, a naokoło widać było same prawie
olchy. Trzeba było obchodzić, szukać suchszych dróg.
Za chwilę las się przerzedził, po lewej ręce ukazała
się, jakby smuga wody, a za nią zarośla w trzciny.

— Jakaś rzeczka puszczańska, — rzekł Janek, —
o niskich, podmokłych brzegach, jak to zwykle bywa.
Wszystkie prawie rzeki w puszczy mają ogromnie mały
spadek, płyną nadzwyczaj wolno, prawie niedostrzegal-
nie, tworząc po brzegach błota i rozlewy, oraz wyspy,
porośnięte trzciną tatarakiem, liściastymi zaroślami, często
nawet i drzewami.

Mowę Janka przerwał przeciągły grzmot. Zajęci
przedzieraniem się przez gąszcza, a później przez ba-
gno, podróżni nie zauważyli, jak mało zaciągnęło się
chmurami i zbliżyła się bardzo szybko burza. Wicher
wstrząsał wierzchołkami drzew i spędał coraz to czar-
niejsze chmury. Błysk rozdarł nagle obłoki, huknęło

jeszcze raz i prawie w jednej chwili puścił się ulewny deszcz.

Ruszono śpiesznie z powrotem do lasu. Zanim jednak chłopcy zdążyli ukryć się w większym gąszczu, deszcz zlał ich, jak z cebra. Jeden tylko Józio, który z przeczucia wziął ze sobą pelerynę, był jako tako zabezpieczony. Ukrył on pod nią zielnik Janka, ale za to teka Julka, niesiona bez żadnej osłony, wyglądała bardzo smutno. Ukryci w gąszczu chłopcy, wsłuchiwali się w dudnienie kropli po liściach. Od czasu do czasu przeleciała błyskawica po niebie i grzmot donośnym echem rozchodził się w puszczy. Ale odgłosy stały się coraz cichsze, nawałnica słabła, oddała się.

Skoro tylko deszcz z ulewnego przeszedł w rzadki, kroplisty, chłopcy wypadli w kryjówki i szparkim krokiem ruszyli na poszukiwanie jakiej ludzkiej siedziby. Z wyjątkiem Józia, wszyscy byli przemokli na nitki. Z butów tryskała woda za każdym krokiem, a ubrania leżały na nich, jak ulane.

— To nas puszcza ochrzciła!

— W dodatku nie mamy pojęcia, jak daleko stąd do wsi i jak długo jeszcze wypadnie nam błądzić po lesie, zanim będziemy mogli się osuszyć? Ale w tem



Leśniczówka w puszczy Białowieskiej.

sztuka: dać sobie radę w każdym położeniu! No, kto pierwszy odnajdzie drogę do ludzi?

Tym pierwszym okazał się Józio. Wprawdzie cała jego zasługa polegała na tem, iż pierwszy usłyszał szczekanie psa w pobliżu, ale czemuż inni nie uprzedzili go w obwieszczeniu tej radosnej wieści?

Po chwili zatrzymano się przed domkiem strażnika leśnego, który przyjął podróżnych bardzo uprzejmie, a na osuszenie się wymyślił bardzo prosty sposób: polecił wszystkim rozebrać się do naga i wleźć w siano, złożone w szopie. Ubranie zaś i obuwie porozwieszał tymczasem na płocie, na słońcu: później to się je dosuszy do reszty przy ogniu.

Józio, którego ubranie znacznie mniej ucierpiało od deszczu, dzięki pelerynie, usiadł na przyźbie na słońcu i wygrzewał się na niem, w pobliżu suszących się strojów.

Wtem z lasu wysunęła się jakaś ludzka postać i podążała ku chacie. W miarę zbliżaniu się nie trudno było poznać, iż jest to ktoś wojskowy, z szablą i rewolwerem. Józio rozpoznał w nim strażnika policyjnego.

— Oho! pewnie będzie się czepiał o paszport!

Strażnik, zbliżywszy się, z podziwem spojrzął na chłopca w uczniowskim ubraniu, i zaraz wdał się z nim w rozmowę, skąd się tu wziął i co porabia w puszczy.

— Tak, tak, teraz to strasznie weszły w modę wycieczki młodych ludzi do puszczy. Może to i dobre, ale dla nas tylko kłopot: zaraz trzeba ich śledzić. Mało to bandytów i rewolucjonistów wśród młodych paniczów, choć niby porządnie wyglądają?.. Kto ich tam odgadnie? A gdzież towarzysze pana i kierownik wycieczki? Chciałbym go zobaczyć. Może by on tu wyszedł z chaty?

— O, jego zobaczyć nie można? I on tu przyjść nie może?

— A gdzież on jest? — pytał przerażony strażnik, — może uciekł?

— Nie. On się schował w stodole?

— W stodole? zasadzka? a dużo tam ich jest?

— Trzech.

Strażnik trzepnął się po szabli, pomacał rewolwer:

— Niech-no pan ich tu poprosi; bo ja raport napiszę, a do stodoły nie pójdę.

— Kiedy oni nie mogą przyjść.

— Może ranieni? Hej, gospodarz!

— Oni tylko ubrań nie mają, bo zmokli na deszczu i ubrania się suszą na płocie, więc siedzą w słomie: przecie bez ubrania nie mogą wyjść tutaj.

Wtem wyszedł z chaty gospodarz, i obaj ze strażnikiem poszli do stodoły, gdzie oczom ich przedstawiły się tylko trzy głowy, jakby odcięte i zanurzone w sianie.

— A prawda, że w sianie ciepło i miło.

— Miło, to miło, trochę tylko kłuje. A tu jeszcze pan strażnik chce nas wyciągnąć!

Ale że paszporty były w porządku, dał więc strażnik spokój podróżnym i odszedł, mrucząc tylko:

— Toż ochota włóczyć się po puszczy i moknąć. A wszystko, aby policja miała więcej roboty.

Spędziwszy parę godzin u strażnika leśnego na osuszeniu się i rozpytawszy się dobrze o najbliższą drogę do Białowieży, wędrowcy nasi opuścili jego dom i o samym zmierzchu stanęli znów we wsi, zmęczeni, ale zadowoleni z tej pierwszej znajomości z puszcza.

VI.

Wycieczka do Zamczyska i Starej Białowieży.

(Stogi na palach.—Opowiadanie o żubrach.—Spotkanie Janka z żubrem.—Zamczysko i jego dzieje.—Rzadki storczyk.—Stara Białowieża.—Wspomnienie o Dembińskim).

Na drugi dzień wyruszono znów w drogę, ale już z przewodnikiem i ze ściśle określonym celem wycieczki. Miano zwiedzić dwa uroczyska, zwane Starą Białowieżą i Zamczyskiem. Droga prowadziła na północny zachód, na lewy brzeg Narewki.

— Najpierw będziemy szli ludną okolicą, bo w tej stronie jest kilka wsi, a później za rzeczką Lutownię zapuścimy się w puszcza,—objaśnił przewodnik.

Gromadka nasza unikała jednak, o ile możliwości, gościńca, zbaczając z niego ciągle, ilekroć nie przedłużyło to zbyt drogi. W gąszczu leśnym wśród traw i krzewów było weselej, a zresztą i zobaczyć można było więcej i zebrać nie jeden ciekawy okaz. Tym razem i Julek botanizował zawzięcie, na wyścigi z Jankiem i podług jego wskazówek. Wysuszone i jako tako podlatana teczka grubiała z każdą chwilą.

Wkrótce las się urwał i podróżni wyszli na obszerłą łąkę. Pierwsza rzecz, jaka się im rzuciła w oczy był stóg siana, umieszczony na palach.

— To ci śmieszny stóg, — zawołał Józio, — stoi, jakby na nogach! Nigdy nie widziałem nic podobnego.

— Boście z suchszych krajów, paniczu, — objaśniał przewodnik, — u nas tu bagien dość i musimy tak układać siano, żeby nam nie zamokło. Często to je chowamy nawet do takich szop, jak tu, którą tam dalej widzicie.

Chłopcy podbiegli ku budynkowi, który zdaleka wzięli za chatkę i sprawdzili, iż jest to istotnie szopa bez okien na skład siana.

— W takich szopach to nawet bezpieczniej, bo żubry nie ruszą.

— Alboż żubry przychodzą na wasze łąki i ruszają wasze siano?

— Tutaj to nie, bo ich tutaj niema, ale tam dalej, to nieraz przychodzą, rozrzucają stogi i zjadają siano, choć mają i swoje własne, umyślnie dla nich gromadzone.

— Przecież go można odpędzić.

— Nie zawsze człowiek dopatrzy w porę, a prztem czy to taki zwierz boi się ludzi? Wyjdą na niego chłopci gromadą z drągami i krzykiem, a on tylko stoi, ogonem wywija, językiem się oblizuje, a potem jak nastawi rogi i rzuci się na ludzi, to wszyscy od razu w nogi, a on spokojnie wraca do siana.

— Tacyście odważni!

— Spróbowałby pan! Taki żuber to i wołu weźmie na rogi i przerzuci przez siebie, a nawet brzuch mu popruje, a cóż dopiero człowieka! Był tu niegdyś, powiadają starzy, żuber, co wychodził na drogę, jak kto wiozł siano, wozem czy saniami, i nie ustąpił z drogi, aż dopóki mu było nie rzucić wiązki siana. Taki jak się zawziął na którą łąkę, to bieda była! Powiadają, że jak zdechł, to ludzie aż na mszę dali.

— A nikt tam nie pomoże takiemu żubrowi? Od czegoż są strzelby, gdy wam już za bardzo dokuczy? Czy tego nie próbujecie?

— Kto by się ośmielił to zrobić, kiedy za zabicie żubra położono 700 rubli kary i 10 lat tury. Jak na kryminal i to duży.

— Ja bo słyszałem,—odezwał się Janek, że taki dokuczliwy żubr, to nie zawsze ginie naturalną śmiercią, że mu tam czasem ludzie pomogą w ciemną, burzliwą noc, kiedy wicher głuży odgłos strzelby w jakimś dalszym ostępie. I nie prędko potem znajdują go strażnicy. Tak przynajmniej opowiadał pan Gloger, który zwiedzał puszcę przed kilkunastu laty.

— Ja tam o tem, nic nie wiem,—odrzekł niechętnie przewodnik, bo żubrów mało widuje. Może tam się i znajdzie śmiałek, co zechce zaczepić, ale to nie bardzo bezpiecznie w pojedynkę nastawać na niego.

— Ten sam pan Gloger,—mówił Janek,—zapisał opowiadanie strzelca, który razu pewnego spotkał się bez broni ze starym żubrem. Żubr był jakoś gniewny i nastawił się rogami na strzelca. Ten schronił się w sosnę i nie mając innej broni, rzucił nań swą torbę barwną. Ale żubr jeszcze się więcej rozgniewał.

Wówczas strzelec padł, jak długi na ziemię, wiedząc, że żubr ma za krótkie rogi, aby je podsadzić pod leżącego człowieka. I uratował się w ten sposób, tylko brodacze pomacał go rogami po łopatkach i poprął mu burkę.

— Ale nie wszystkie żubry są takie złe!—odezwał się przewodnik,—jak ich nie ruszać, to i one nie zaczepiają ludzi.

— A jakie trawy żubry najchętniej jedzą?—pytał Julek,—wiesz co, Janku? wartoby było takie żubrze trawy zebrać do zielnika.

Ale przewodnik nie bardzo znał się na botanice i nie umiał odpowiedzieć na to zapytanie.

Za to Janek był na nie najzupełniej przygotowany: miał on wynotowane nazwy ulubionych „żubrzych“ roślin i obiecał pokazać je Julkowi:

— Lubią one szczególnie pewną trawę, zwaną od nich „żubrówką“, a po łacinie „*Hierochloa australis*“. Ma ona bardzo miły zapach, który zachowuje długo po wysuszeniu i dla tego zapachu lud puszczański robi z niej przymieszkę do tabaki. Następnie gatunek jaskra, zwany żerużą (*Ranunculus repens*) i chrabust (*Cirsium oleraceum*), należący do cestów. Postaramy się

wyszukać tych wszystkich roślin. Zresztą jedzą żubry większość innych ziół, a są także wielkimi amatorami młodej kory z drzew i krzewów. Mają jeszcze podobno lubić jemiołę. Tak przynajmniej opowiadał przed kilkunastu laty botanikom naszym, Błońskiemu i Drymerowi, pewien stróż, który po wojnie rosyjsko-tureckiej odwoził parę żubrów, przeznaczonych na podarunek dla sultana tureckiego. Zwierzęta, zmęczone długą jazdą koleją, a później statkiem z Odesy do Konstantynopola, straciły zupełnie apetyt i nie chciały wcale jeść najsmaczniejszego siana z najlepszych łąk białowieskich, które umyślnie dla nich zabrano. Ale gdy im dano jemiołę, to podobno zjadły ją z apetytem.

— A inne zwierzęta nie robią wam szkód?—pytał tymczasem Kazio przewodnika.

— Dziki, gdy przyjdą na pole. Ale te w szkodzić wolno zabijać. Za to jelenie i sarny można tylko hałasem odpędzić. One jednak mniej szkodzą.

Posuwając się naprzód, podróżni nasi minęli z drugiej strony Narewki niedużą wieś Budy Pogorzelce, mającą zaledwie dwadzieścia kilka domów mieszkalnych i zamieszkaną przez hardych Mazurów budników. Jeszcze dalej przeprawili się po niezbyt pew-

nej i mocno trzęsącej się kładce przez rzeczkę Łutownię, będącą dopływem Narewki. Następnie zapuścili się w las o wyglądzie bardziej gęstym i dzikszym.

— Józiu! na miłość boską, zanim zginiemy w tym ostepie, stratowani przez żubrów lub utoniemy w bezdennych błotach puszczańskich, odfotografuj nas na tej kładce, której samo przejście należy do czynów bohaterских!—wołał Julek.

Poczem gromadka nasza ustawiła się w części na kładce, w części obok niej i Józio dla pewności zrobił aż dwa zdjęcia; następnie zaś na ogólne żądanie zajął sam miejsce w kładce a Janek odfotografował trzech chłopców z przewodnikiem.

Na odpoczynek zatrzymano się na niedużej polanie—w cieniu rozłożystych drzew. Posilono się skromnymi zapasami, porozmawiano trochę z przewodnikiem o życiu w puszczy i o żubrach. Poczem uchwalono jednogłośnie przespąć się trochę dla nabrania sił przed dalszą drogę.

Ale Julek tak był przejęty chęcią powiększenia swych zbiorów botanicznych, że nie chciał spać, lecz postanowił poszukać trawy żubrówki na polance i w najbliższym jej sąsiedztwie.

— Nie odchodź tylko daleko, — upomniał go Janek, — żebyśmy nie potrzebowali szukać cię długo.

Ułożono się do drzemki. Nie trwała ona jednak długo. Smaczny sen został nagle przerwany krzykiem Julka: „żubr! żubr!“

Wszyscy zerwali się na równe nogi i ujrzeni Julka wypadającego z gąszczów na przeciwnej stronie polanki i pędzącego na oślep ku nim. Po drodze leżały dwa ogromne zwalone dęby. Julek skoczył na nie i w tejże samej chwili z krzykiem znikł z przed oczu towarzyszków, zapadając się w spróchniałych pniach.

Ale jednocześnie prawie z gąszczu wybrnął ogromny, brodaty żubr, łamiąc po drodze gałęzie i krzaki. Kilka potężnymi skokami przesadził polaukę i znikł znów w gęstwinie.

Tymczasem ze zbutwiałego pnia wyłoniła się rozwichrzona i osypana próchnem głowa Julka, oglądającego się na wszystkie strony z przerażeniem.

— Gdzie żubr? — zapytał drżącym głosem.

— Wylaż-że już, tchórze jeden, śmiali się Kazio i Józio: żubra już dawno niema.

— Ale gonił mnie przecie!



Żubry w puszczy Białowieskiej.

— To jeszcze wielkie pytanie!—wtrącił Janek,—
wyglądał na nie mniej przerażonego od ciebie. Opowiedz nam jednak, jakieś się z nim spotkał i dlaczego uciekłeś tak gwałtownie?

Pokazało się, że Julek, blakając się po sąsiednich gąszczach tak się cały przejął szukaniem roślin, że ani się opatrzył, jak podszedł tuż prawie do śpiącego żubra. A gdy obudzony nagle zwierz, podniósł na niego oczy, tak się przeraził tem niespodziewanem spotkaniem, że krzyknął i rzucił się do ucieczki.

— A żubr, zdziwiony odwagą warszawskiego botaniką, ruszył za nim, żeby sprawdzić, jak to wyglądają meźni Warszawiacy.

— Szkoda tylko, żeśmy nie byli na to przygotowani i że Józio nie stał z aparatem: byłby uwiecznił twoje męstwo.

— ŚmieJCie się, śmieJCie,—odezwał się zirytowany Julek,—napewno zmykalibyście jeszcze lepiej odemnie. Mało to nasłuchaliśmy się dzisiaj opowiadań o złośliwości żubrów i o ich zaczepianiu ludzi.

— A gdzież twoja teka i czapka?—pytał Janek, widząc, że Julek niema tych rzeczy.

Trzeba było ruszyć na poszukiwania, które zresztą

nie trwały długo. Teka znalazła się na ziemi, a kapelusze na krzaku lauwinie. Przy sposobności obejrzano odeisk potężnego cielska żubra na miękkim, wilgotnym mchu.

— Cóż to za zapach taki mocny i nieprzyjemny?—pytał Józio.

— To zapach piżma, który wydzielają z siebie żubry, a którym tu przesiąkł widocznie mech, służący im na posłanie.

Po tej przygodzie odpadła już chętka do snu; ruszono więc dalej do głównego celu dzisiejszej wycieczki, do uroczyiska „Starej Białowieży“.

Posuwano się ku północy, mniej więcej równolegle do biegu Narewki, ale nie szeroką utartą drogą, lecz lasem, przez gąszcza, bagienka, zwały drzew, nieraz tak potężnych, że tworzyły rodzaj barykad, i wędrowcy nasi stawali przed nimi niepewni, jak przebrną na drugiej strony takiej barykady. Wdrapać się na nie można było, ale trudno ręczyć, czy się nie zapadnie w spróchniałą głąb drzew, jak się to przytrafiło Julkowi w ucieczce przed żubrem. Zwalczono jednak wszystkie przeszkody: przebrnięto bagna, zwały

i zatrzymano się wreszcie w miejscowości, zwanej „zameczyskiem“.

Chłopcy ujrzeni przed sobą wzgórek, porosły starymi wyniosłymi drzewami. Na stokach krzewiły się bujnie paprocie i różne zioła; a od czystej ich zieloności jaskrawo odbijały różnobarwne kwiaty.

— Ładnie tu,—rzekł Kazio,—ale gdzie jest zameczysko? Nie widzę nawet śladów jego.

— Ślady może by się znalazły, gdyby poszukać trochę,—zauważył Janek,—przyjrzyj się uważniej, a dostrzeżesz tu i owdzie stopy kamieni. Chodźmy na wzgórek.

Zaczęto się wspinać. Z pod ziół sterczały istotnie większe i mniejsze kamienie, całe porosłe mchem. Oddawna, widocznie, leżały już tutaj.

— Ostrożnie! ostrożnie! — woła Julek, — tu pod tem zielskiem jest jakiś dół.

— Zapewne piwnice lub fundamenty tego starego zamku, który tu wznosił się niegdyś,—mówił Janek,—i w nim leżą kamienie, również stare i omszone. Hej! hej! miejsce to już dawno zostało opuszczone przez ludzi. Spójrzcie tylko, u środku dołu wznosi się dąb, a jaki wielki i tęgi. Stoi on tu już dobrych parę wie-

ków, a przecież nie wyrósł za czasów istnienia zamku, ale wtedy dopiero kiedy ten już leżał w gruzach.

— I żadnych wzmianek niema o historyi tego zamku i czasach jego istnienia?—pytał Kazio.

— W każdym razie bardzo skąpe. Wznosił się on tu, według wszelkiego prawdopodobieństwa, za Jagiełły. W nim, zapewne, mieszkał ten król wraz z Witoldem, gdy urządzali wielkie łowy w r. 1409 przed wojną z Krzyżakami. Do niego też zjechali obaj bracia ze swymi rodzinami i dworami w r. 1426, gdy straszny mor grasował po kraju, pustosząc wsi i miasta, i zapędzając ludzi w niedostępne zakątki borów, których całymi miesiącami nie śmieli opuścić. Za gęstą, zieloną ich ścianą żyli bezpiecznie i spokojnie, aż dopóki zaraza nie ustała. Inaczej tu było wówczas na tej górze: gwarno, rojno i wesoło. Nie tak pusto, jak dzisiaj.

Ale wzgórek ten pamięta znacznie dawniejsze czasy, tak dawne, że ludzie o nich zapomnieli już od wieków, gdy wspomnienia o zameczku Jagiełły żyją jeszcze dotychczas. Okolice wzgórka tego były zamieszka-
ne w bardzo dawnych, pogańskich czasach. A dowie-

dziano się o tem przypadku przed laty kilkudziesięciu.

O zwaliskach tego zamku, jak o wszystkich prawie zamkach, istniały podania, że w podziemiach ich znajduje się wielkie skarby, których pilnują złe duchy; że nocami skaczą tu błędne ogniki po kamieniach; że tu króluje nie czysta siła i inne tym podobne opowieści. Przesądny mieszkaniec puszczy unikał tych zwalisk nocami, a, jeśli nie mógł ich wyminąć, to zęgnął się ze strachem i starał się oddalić, jak najprędzej.

Byli jednak i tacy, którzy drwili z zabobonów, ale wierzyli w zakopane skarby. W r. 1825 pewien obywatel z okolic puszczy zapragnął je posiadać. Podkrażał się więc tu nocami i kopał. Ale gdy raz został dostrzeżony przez jednego ze strzelców puszczańskich, przestraszył się odpowiedzialności, jaka by go mogła czekać za kopanie na gruncie rządowym, i sam pośpiesznie doniósł do gubernii, że według jego przypuszczeń w uroczysku tem zakopane są skarby. Zjechała wówczas umyślna komisya rządowa z Grodna, rozkopala grunt, nie znalazła jednak żadnych skarbów, lecz jedynie mnóstwo ludzkich grobów, których istnieje

niu tutaj nikt z okolicznych mieszkańców ani przypuszczał nawet.

Może to są grobowce Jadźwingów, a może sięgają one jakichś jeszcze dawniejszych (przedhistorycznych czasów. Kupy głazów, poukładane w takie rosety, jak tutaj, znajdowano na przedhistorycznych cmentarzyskach w Mongolii. Stare więc i bardzo dawne są dzieje tego zamczyska: wiele już ludzi przewinęło się tutaj przez tyle wieków! A dziś tylko rośliny królują na tym wzgórcu.

Ale za to co ich tu jest i jakie piękne!

— Patrzcie no, na tę osobliwość, — dodał Janek zrywając i pokazując chłopcom prześliczny stórczyk, o żółtej, purpurą nakrapianej koronie w kształcie małego pantofelka, rozszerzonego na końcu; w sam raz dla tych laskich branek, o których powiada Mickiewicz w „Trzech Budrysach“

A tak małe ich nóżki,

Że na trzewik dziewczynie swawolnej

Może służyć kwiat pewny,

Zwany trepkim królowny,

Kwiat nie większy od lilii polnej.

Nie wiem zresztą, czy Mickiewicz ten właśnie kwiat miał na myśli, i ten nazwał trepką królową. Naukowa jego nazwa jest obówik pospolity (*Cyplipedium calceolus*), oznacza więc ostatecznie to samo. Storczyk ten w kraju naszym należy do bardzo rzadkich, ale w puszczy nie jest wcale osobliwością.

Z „zaczyska“ udano się do „Starej Białowięzy“, pięknego starego uroczyska, położonego tuż nad Narewką. Śliczny to był zakątek: potężne, okazałe dęby i inne drzewa liściaste szumiały poważnie gałęzmi, u stóp ich rozścielał się aksamitny kobierzec traw i różnych ziół, powoli i spokojnie toczyła swe czarne wody Narewka, a słońce, zniżywszy się już nieco ku zachodowi, grało światłem na wierzchołkach drzew.

— Tu skończymy nasz marsz ku północy,— rzekł Janek,—gdybyśmy szli dłużej z biegiem Narewki, dotarlibyśmy do miasteczka tegoż nazwiska, położonego już na samym skraju dzisiejszej puszczy. Miasteczko to, dawna parafia i wielki świat dla puszczaków, dla nas nie przedstawiałyby nic ciekawego.

— A czyż niema tam żadnych pamiątek? — pytał Kazio.

— Chyba, że się ich wiele nie znajdzie. Co najwyżej historyczny most, na którym 28 lipca 1831 r. generał Dembiński, wykonawszy słynny odwrót z Litwy przez puszcę Białowieską, spotkał Różyckiego, ciągnącego dopiero na Litwę. Nie było już tam jednak iść poco! Obaj więc wodzowie udali się stąd razem do Królestwa, aby być wkrótce świadkami upadku sprawy narodowej.

Gdybyśmy mieli więcej czasu, moglibyśmy dojść do Narewki i zwiedzić tę część puszczy. Ale że go nie mamy dużo, zużytkujemy go lepiej na obejrzenie ciekawszych zakątków i zwrócimy się znów na południe.



VII.

Ostatnie dni pobytu w puszczy.

(Zwierzyniec. — Góra Batorego. — Nieznanowo i cisy. — Błoto Nikorskie. — Kładka bez końca. — Cisówka i jodły. — Odjazd).

Celem drugiej wycieczki był zwierzyniec. Będąc w puszczy, nie można było i jego pominąć. Pozwolenie otrzymano bez trudności, a jeden z miejscowych strzelców miał służyć za przewodnika i pokazać wszystkie osobliwości zwierzynca, a zwłaszcza żubry.

Zwierzyniec ciągnie się sześć wiorst na długość i dwie na szerokość, zajmuje więc obszar 12 wiorst kwadratowych. Przecięty jest ukośnie z południowego zachodu na północny wschód rzeczką Krynicą, wpada-

jąc do Łutowni, lewego dopływu Narewki. Otacza go ze wszystkich stron częstokół, wysoki na dwa sążnie.

Minąwszy bramę wjazdową, chłopcy weszli do środka szeroką, pięknie utrzymaną drogą, która ciągnie się w kierunku prostym przez cały zwierzyniec aż do drugiej bramy, prowadzącej ze zwierzynca ku wsi Budy.

U wjazdu wznosił się okazały żubr, odlany z brązu i postawiony tu na pamiątkę polowania cesarza Aleksandra II.

Zwierzyniec wyglądał ładnie, ale jakże się różnił całym charakterem od samej puszczy, od zakątków, zwiedzanych wczoraj!..

Rosły tu śliczne stare i grube drzewa, przeważnie liściaste. Imponująco zwłaszcza wyglądały wiekowe dęby o potężnych konarach, tu i ówdzie widać było wysmukłe sosny i poważne świerki. Las był stary niewątpliwie, brać leśna obejmująca całe wieki rzucała się tu od razu w oczy. A jednak znać tu już było aż nadto wyraźnie gospodarzę człowieka, która usunęła prawie zupełnie pierwotną dzikość i samodzielność natury. Był to raczej prześliczny, olbrzymi stary park, niż pierwotna puszcza.

Chłopcom spragnionym dzikiej natury, nie podobał się on wcale, a szczególnie Julek krytykował go głośno i zajadle.

— Co mi to za las,—mówił,—wszystko uporządkowane, pokrajane i pocięte równo; nigdzie nie widać zwałów, opadłych gałęzi, wszędzie stopy drzewa, równo poukładanego. Brak tylko kupców w chałatach na to drzewo! Trawa taka jakaś równa, jakby zasiana. Brr! Pewien jestem, że i żubry tutejsze są mniej okazywały od tych, co chodzą po puszcę swobodnie.

— Ma panicz słuszność,—odezwał się strzelec.— Tamte wyglądają piękniej, mają gładszą i jaśniejszą szerszą. Każdemu na wolności lepiej!

— Ale przecież i tu mają one zupełną swobodę?

— Naturalnie, że mają: dwanaście wiorst obszaru, to jest gdzie pochodzić. Zawsze to jednak nie to, co cała puszcza.

— Ale też i żubrów niema tu chyba dużo?

— Załedwie kilkanaście, kiedy w całej puszczy będzie ich z tysiąc.

— A kto pilnuje, żeby żubry nie uciekły z puszczy?—zapytał Józio.

— Pocóżby miały uciekać? Naokoło lasów niema, pola, wioski; cóżby tam robiły? Samą wola trzymać się puszczy.

— A jakie tu są jeszcze zwierzęta w zwierzyńcu?—pytali dalej chłopcy.

— Jelenie, daniiele, kozy, sarny, dzikie.

— A łosi niema?

— Tutaj niema, ale są w samej puszczy, w błotnistych częściach. Jest ich nawet sporo, z parą tysięcy.

— A bobry?—zapytał nagle Julek.

Ale strzelec nie bardzo nawet wiedział, co to są bobry. Dopiero Janek wytłumaczył, iż niema ich tu oddawna, chociaż niegdyś znajdowały się istotnie w puszczy nad brzegami Narwi. Nie widział ich tu już Jarocki, profesor uniwersytetu warszawskiego, który polował w lutym r. 1830 na żubry w puszczy Białowieskiej w celu zdobycia okazów dla gabinetu zoologicznego w Warszawie. W opisie swojego polowania i puszczy, wspomina on, iż pokazywano mu jedynie opuszczone budowle bobrów nad Narwią, ale samych zwierząt nie było już wcale w puszczy. Dziś próżno byśmy szukali nawet i ich budowli. Teraz bobry zo-

baczyć można jedynie w niektórych lasach gubernii Mińskiej. •

Zapuszczono się w bardziej dziki zakątek i strzelec zalecił zachowywać się cicho, żeby nie spłoszyć żubrów. Ale zamiast nich na sąsiedniej polance zobaczono nieduże stadko pasących się jeleni.

— Jakie ładne zwierzęta,—szepnął Kazio,—tylko że wyglądają więcej na mieszkańców parku, niż na dzikich puszczaków. Żubr jest godniejszym przedstawicielem Białowieży.

Żubrów atoli nie łatwo było znaleźć, aż Józio proponował, żeby wysłać przodem Julka, ja wytrawnego w wyszukiwaniu tych zwierząt.

Obeszło się jednak bez tego: napotkano bowiem wkrótce żubrzą z małym cielątkiem, które uczyła chodzić, popychając je śmiesznie nosem. Udało się nawet podejść do niej tak niepostrzeżenie, że Józio mógł zrobić zdjęcie tej czulej matki i jej dziecka.

Zwiedziwszy zwierzyniec, chłopcy skierowali się ku niezbyt oddalonej stąd „Górze Batorego“.

W rzeczywistości był to niewielki pagórek o płaskim szczycie, położony przy szerokiej „królewskiej drodze“, która idzie od Białowieży w kierunku pół-

nocno-wschodnim ku miasteczku Narwi, leżącym nad Narwią, jeszcze poniżej ujścia Narewki, a więc zupełnie po za obrębem puszczy Białowieskiej.

Pagórek, zwany „Górą Batorego“, nie odznaczał się zresztą niczem szczególnem, nawet drzewa rosnące na nim, nie były wcale ani bardzo stare, ani okazałe. Całą jego wartość stanowiło przywiązane do niego wspomnienie, iż tu rozbijał obozowisko „mocny król“, to jest Batory, gdy przyjeżdżał na łowy do puszczy, i że od niego otrzymał on nazwę.

— I tu niegdyś bywało rojno i gwaro od rycerzy i myśliwych. Nie wznosiły się tu wprawdzie wieże i mury zamków, ale bielily się płótna namiotów, gorzały ognie, słyhać było trąby myśliwskie, głosy psów, nawoływania się, a wieczorem po pomyślnych łowach tysiące prawdziwych i zmyślonych opowiadań o przygodach myśliwskich, trofeach i zdobyczach, opowiadań pełnych swady i rozmachu dawnego, nie tych sporów „o charcim ogonie“, które tak gorszyły Wojskiego w „Panu Tadeuszu“, ale pełnych ognia historii z tych czasów, kiedy to

w języku strzeleckim
Dzik, niedźwiedź, łoś, wilk—zwany był zwierzem szla-
[checkim.

A zwierzę, nie mające klów, rogów, pazurów
Zostawiano dla płatnych sług i dworskich ciurów.

A słuchał tych opowiadań nie Gedymin już
wprawdzie, ani nawet Jagiello, mieszkaniec nie istnie-
jącego już „Zamczyska“, ale nie mniej dzielny od obu
myśliwy, który umiał stanąć oko w oko z niedźwie-
dziem i żubrem, o którym pochwała w „Elogium na
śmierć Batorego“ głosi, iż „w poskromieniu dzikich
zwierząt był więcej niż lew“.

Późniejsze to czasy znacznie od tych, które pa-
mięta „zamczysko“, a jednak i po nich nie widać tu
żadnych śladów. Człowiek dołem zrabiał bór, który
niegdyś zwartą masą sięgał aż do stóp pagórka i ot-
aczał go jedną zbitą zieloną obręczą; a przyroda zasiała
drzewa na jego wierzchołku, ongi łysym i nagim. Dla
tego drzewa tutaj są tak mało okazałe w porównaniu
do starych patryarchów puszczy. A zamiast dawnych
myśliwych...

-- Stoi tu czterech cherlawych warszawiaków,—
wtracił, śmiejąc się Kazio,—którzy przed żubrem umy-

kają, a niedźwiedzia nie boją się tylko dla tego, że go
niema w puszczy; polują za to na niewinne i niegroź-
ne kwiaty.

— Ej! Kazik, Kazik! nie bądź tak złośliwy.
A kto to deklamując „Pana Tadeusza“—sam sobie spo-
rządził wieniec dębowy?

— Józiu, fotografuj „Batorego“, — komendował
Janek,—nie żałuj klisz, póki są!..

Zdjęto więc i „Batorego“.

— A teraz dokąd pójdziemy?

— W tej części puszczy mamy jeszcze bardzo
ciekawe uroczyska, jeden z najdzikszych ostępów, zwa-
Niezanowem. A znajdziemy tam prawdziwe cisy i...
moe storeczyków.

— A co, nie mówiłem?—żartował dalej Kazio,—
więc po to będziemy brnąć przez trzęsawiska i przejd-
ziemy „wielki wał pniów, korzeni“, żeby w nim polo-
wać na... storeczyki.

Cóżby rzekł na to stary Rejtan, gdyby ożył?
Wróciłby do Lachowicz i w grób się położył!

Chodźmy, chodźmy, jednak, wy niszczyście bia-
łowieskiej flory!

Dostęp do Nieznanowa okazał się istotnie bardzo trudnym i męczącym. Takich zwałów, tak spiętrzonych jeden na drugi pni, nie spotykano jeszcze dotychczas nigdzie. Co chwila ktoś się zapadał, grzązł, osypywał próchnem siebie i innych. Tu trzeba było przelazić, tam przeskakiwać lub przeciągać jeden drugiego.

Trud jednak opłacił się sownie. Żaden inny kąs puszczy nie dałby chyba tak dobrego pojęcia o nieprzebytych dawnych matecznikach, jak to uroczysko.

Za to cisy, rosnące w Nieznanowie, dość nędznie reprezentowały swych przodków, tworzących ongi u nas piękne lasy. Tutejsze cisy nie były to wcale drzewa, ale marne, niziutkie krzaczki, zaledwie takie, jak jałowiec. I było ich tu przytem zaledwie parę.

Nie zaimponowały więc wcale chłopcom, ale zato znaleziono kilka ciekawych i ładnych storczyków.

Pobyt w puszczy miał się już ku końcowi, czas bowiem Janka, a także fundusze całej gromadki były ograniczone. Pojutrze miano już wyruszyć z powrotem. Pozostały więc dzień postanowiono zużyć na zwiedzenie jakiegoś zakątka, co najmniej tak dzikiego i ciekawego jak Nieznanowo.

Po naradach wspólnych postanowiono wybrać się do błota Nikorskiego i źródeł Narewki we wschodniej części puszczy. Tam leży uroczysko „Cisówka“ jedynne miejsce w puszczy, gdzie rosną jodły.

— Kawalek to drogi, bo prawie dwie mile stąd, ale przecie wyrobiliśmy już nogi na drogach puszczańskich, więc to nas nie przestraszy. Pójdziemy tym razem nie wdół, ale w górę Narewki, po drodze miniemy stoczek...

— Czyż ten gdzie Dwernicki pobił wojska rosyjskie w roku 1831? — wyrwał się Józio.

— Ten sam, ten sam, — mówił Kazio; — Geismor umyślnie szedł od Lublina ku Warszawie krętą drogą na Bielowieżę, żeby zwieść Polaków. Ale Dwernicki nie dał się złapać i wsadziwszy swój oddział do pociągu pośpiesznego wyruszył na Białystok i Bielsk do puszczy i tu pobił Geismara na głowę, poczem tym samym pociągiem odjechał do Warszawy.

— Józio pozieleniał z gniewu i mruknął pod nosem: „Licho nadało tyle stoczków!“ Można się przecie omylić.

— Nazywa się on istotnie tak samo, jak tamten

głośny Stoczek, ale jest zwykłą wioską puszczańską, niczem niewysławioną.

Wczesnym rankiem wyruszono w drogę i postępowano rączym krokiem, wstrzymując się jedynie na chwilę, gdy jaki ciekawy okaz zwrócił na siebie uwagę botaników wyprawy.

Stoczek nie odznaczał się istotnie niczem szczególnie ciekawem, był jednakże sporą wioską, jedną z większych, jakie widziano w puszczy.

Droga wraz z odpoczynkiem i popasem zajęła ze cztery godziny tak, że słońce było już wysoko na niebie, kiedy zbliżono się do błota Nakorskiego i wsi Babiniec.

— A gdzież jest ta wioska?—pytał Józio—czy to te kilka nędznych chat?

— A tak—odparł Janek—nieduża to wieś, jak widzicie. Ciekawa jednak z tego względu, że jesteśmy tu na wschodnim krańcu puszczy w miejscu, gdzie jest ona prawie największa; odległość od Hajnowki na zachodnim krańcu do Babińca wynosi około 30 wiorst. Poznajemy więc w tej chwili wschód puszczy. Potrzeba nam tylko przewodnika, któryby nas zaprowadził na Cisówkę.

Ale wynalezienie przewodnika nie okazało się rzeczą tak łatwą: gospodarze wszyscy byli w polu, gospodynie zajęte warzeniem jada. Wolni byli jedynie kilkoletni chłopcy, ale ci nie wzbudzali zaufania, jako przewodnicy, chociaż jeden z nich ofiarowywał się nawet zaprowadzić do ojca, który właśnie był w tej chwili na „Cisówce“.

I chłopak wskazał ręką dość odległą kępę z błotem: czernił się na niej nieduża lasek iglasty i zieleniło się pole.

— Cóż ojciec tam robi?—pytał zdumiony Józio.

— Poszli obejrzeć łąkę—odparł chłopak: czy już prędko kosić będzie można. Bo my tam mamy i pole i łąkę—dodał z dumą.

— A jakże stamtąd zwozicie siano i zboże? Chyba jest jakiś most przez to błoto?

— Nie, mostu niema. My tam siano i zboże zostawiamy do zimy—i zabieramy je dopiero, gdy błoto zamarźnie, i można jechać saniami.

— A teraz, jak się dostajecie?

— Są tam takie kładki dla pieszych, ale wóz po nich nie przejdzie.

Chłopcy mieli większą chętką iść zaraz z młodym przewodnikiem, ale Janek obawiał się powierzyć mu swą gromadkę. Postanowiono więc zaczekać na gospodarza i posilić się tymczasem.

Czekanie nie trwało zbyt długo: za dobre półgodziny gospodarz wrócił i podjął się zaprowadzić podróżnych na „cisówkę“ i pokazać im „białe cisy“—ale dopiero po obiedzie.

— Tu już nie jedni panowie przychodzili oglądać „białe cisy“—dodał.

Trzeba się było pogodzić z losem i przedumać te parę godzin, które gospodarz zużył na obiad i odpoczynek południowy. Poczem ruszono w drogę.

Gospodarz poradził wszystkie toboraki zostawić u niego w chacie i dla każdego z podróżnych sporządził długą żerdkę.

— A to na co?—pytał zdumiony Julek.

— Do podpierania się na kładce.

Praktyczność tych żerdeń okazała się wkrótce w całej pełni. Takiej kładki, jak tu, żaden z chłopców nie widział jeszcze nigdy. Mniejsza o to, że nie miała ona wcale poręczy, bo przecie nie każda kładka je posiada. Ale zato brak poręczy, jak mówił Kazio,

wynagradziła ona sownie swą nieskończoną długością i nierównością. Składała się ona wcale nie z desek, ale z całych drzew, jako tako ociosanych z jednej strony, żeby dać nieco lepsze oparcie dla nóg. Jednakże i na takim ociosanym pniu utrzymanie się w równowadze należało do niezgorszych sztuk akrobatycznych. I gdyby nie żerdka, którą podróżni się podpierali, wtykając ją wprost w błoto, kto wie, ile razy każdy z nich użyłby kąpieli w jego czarnej, grzęskiej masie.

Kładka miała z wiorstę długości; nie więc dziwnego, że przeprawa przez nią wydawała się nie mieć końca.

— Zupełnie, jak ułamek okresowy—mówił Julek: co się jeden pień skończy, drugi się zaczyna i tak wciąż w kółko, bez urozmaicenia i końca.

— Dla urozmaicenia wartoby od czasu do czasu wpadać okresowo w błoto, zażartował Kazio.

Julek roześmiał się z żartu, ale w tej samej chwili chybnął się na kładce i byłby wpadł do błotu, gdyby się nie był wreszcie podparł żerdką.

— Brawo! to się nazywa zgrabność.

Wszystko na świecie ma swój koniec. Więc nareszcie skończyła się i kładka, czyli, jak mówił Julek,

udało się zamienić ułamek okresowy na zwyczajny, chociaż z wielkim trudem i mozołem.

— Ciekawy jestem, dla czego z mozołem?—pytał Kazio:—przecie to był ułamek czysty.

— Jakto czysty?

— A cóż? zabłocił się kto, czy co?

Na kępie obejrzano przedewszystkiem pole i łąki gospodarzy z Babińca, uprawiane i sprzątane w tak wyjątkowych warunkach. Gospodarz pokazał chłopcom sypy i stodoły, w których przechowuje się siano i zboże do mrozów.

— To w ten sposób wy i bydło macie przednówek aż do zimy? — pytał Janek.

— A tak, panie, przed zimą trzeba by stąd siano chyba na plecach znosić, a to by było za ciężko.

Z pola udano się do lasu zobaczyć jodły.

Było ich na kępie z kilkaset, ale nie powodziło się im tutaj świetnie: ani grubością, ani wzrostem nie dorównywały one pięknym jodłom lasów górskich, a nawet i nizinnych. Nizkie położenie i bagnisty grunt nie sprzyjały im widocznie.

Po obejrzeniu lasu jodłowego udano się z po-

wrotem na „okresową“ kładkę, ale i tym razem ułamek był „czysty“, tylko również nieskończony.

Podziękowawszy gospodarzowi i odpocząwszy nieco, gromadka nasza ostrym krokiem pomaszerowała do Białowieży. A następnego dnia powolny i ciężko sapiący pociąg uwoził ze sobą czterech chłopców, zbiory botaniczne, klisze z widokami i wspomnienie puszczy, które nie prędko i nie łatwo się zetrze.

— Gdy staniemy w domu,—mówił Janek,—uporządkujemy rośliny i zobaczymy, jak udały fotografie Julkowi.

— A na przyszłe lato urządzimy znów wspólną wycieczkę!

— Koniecznie! koniecznie!



24.

455047/1157



Dyakowski B.
Z puszczy Biab